



**LATAJĄCE  
TALERZE**

STR. 10

**Gdzie podziła się EDITH PIAF?**

STR. 8

**OD „TURONIA” się ZACZYNA(?)**

STR. 6

**CIA PRZECIWIW KUBIE**

STR. 7

**POMÓC  
ZROZUMIEĆ  
ŚWIAT**

STR. 3

**MAGAZYN**

STR. 12

# ODGŁOSY

ROK XIX NR 2 (944)

8 STYCZNIA 1976 ROKU

CENA 3 ZŁ



TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

## REKOMENDACJE

W bież. numerze „Odgłosów” niewątpliwie zainteresuje zarówno zdrowych jak i chorych artykuł Jacka Indelaka na temat służby zdrowia pt. „Papierowa przeszkoda”. Nie od rzeczy będzie też „rzucić” okiem na gospodarkę, bowiem dowiemy się ciekawych faktów, jak np. że każdego tygodnia nasz krajowy przemysł wytwarza rozmaite wyroby przedstawiające wartość ok. 40 miliardów złotych.

Podstawą do dyskusji o łódzkim środowisku nauk politycznych i jego zadaniach może być wypowiedź mgr Władysława Stefaniuka pt. „Pomóc zrozumieć świat”, a można by wymienić poglądy również po zapoznaniu się z utworami debiutujących w tym numerze „Odgłosów” Pawła Tomaszewskiego, Jarosława Warzechy czy Piotra Perza.

Andrzej Blajer w interesującym cyklu „Centrum tajnego frontu” pisze o dwóch spotkaniach, a z równie ciekawego za-tytułowanego „CIA przeciw Kubie” polecamy materiał „Kowboje z G.M. WAIF”.

Czy poza naszą planetą istnieją we wszechświecie inne cywilizacje, które za pośrednictwem latających talerzy penetrują życie na Ziemi? Czy w przyszłości nie grozi nam wojna międzyplanetarna? Na te i jeszcze inne pytania próbuje dać odpowiedź Bohdan Felt w artykule pt. „Latające talerze: fikcja czy rzeczywistość?”

W bieżącym numerze „Odgłosów” znajdują Czytelnicy poza tym wszystkie stałe pozycje: felietony, informacje książkowe, program telewizyjny, recenzje oraz Magazyn”, w którym polecamy przede wszystkim pozycje: „Ariane” i „Modelarstwo to nie tylko zabawa”.

## OBYCZAJE

TAMARA ROSZAK

# NOC W ZAMKU



W piątek (mniejsza o którym mowa, bo rytm jest tu pono cykliczny) uczestnicy aktualnych kurso-konferencji zbrali się w stolówko-restauracji „Śródborze” na ostatniej pożegnalnej już tym razem — kawie. Jak zwykle było nieco w związku z tym tarapatów, bo kieliszki są w kawiarni (w lewo od korytarza), miejsce zaś więcej jest w jadalni (w prawo od korytarza) — a bufetowa ma już na tym tle obsesję i pewno problemy finansowe, tym bardziej że szkło poza tym, że kruche — w ogóle opuszcza budynek kawiarnio-restauracji „Śródborze” i znika w hotelo-pawilonach pod wezwaniem „Zbyszka” i „Jagienki”, choć ta ostatnia patronowała raczej tupaniu orzechów. Więc, bufetowa, walczy o każdy kieliszek z każdą kurso-konferencją zbiorowo i indywidualnie — i albo musi odpowiadać na pytania: — A to z czego będę pił? z nocnika?

— co jest pytaniem beznadziejnym, bo ani w „Zbyszku”, ani w „Jagience” — szklanki do mycia zębów nie uświadczysz, więc skądże by naczynie tak wydumane; albo też jest szokowana manierą pochodzącą z czasów historycznie zaprzeczonych typu: — MY pijemy koniaki! i reszty nie wolamy... — co jest przy okazji dowodem na to, że łatwiej o zwycięstwo jakości nabywalnego trunku, nad jakością zasobów sformułowań, których kupić nie można. Bufetowa to osoba bardzo dojrzała i lubi żeby to uszanować, ale na swoje wyjść musi, więc znosi i jedno i drugie.

Tak więc piątek mija na pożegnaniach. Powoli wdiera się pierwszy smutek rozstań i nostalgia. Jedni wspominają kurs, drudzy konferencję. Paniom fryzury już się rozprostowały. Panowie jeszcze się telepią pomiędzy bufetem, a stolikami i wywracają portfele na wszystkie stro-

ny, tak że wypadają im nawet jakieś zdjęcia o zagłębionych rogach. Za ostatnią butelczyną, tę „na drogę” płać już bilonem.

Wreszcie odjeżdżają. Grabowa aleja piękna, choć listopadowo wytysiała — pustoszeje. Nad „Zbyszkim” i „Jagienką” zapada bezruch i cisza.

Sobotni poranek — to przyjęcie całego autokaru studentów SGGW i kręcenie loków przez panny recepcjonistki. Panien jest w sumie czterech i pracują według specjalnego harmonogramu, w którym wszystko pozamieniały, i w rezultacie w hotelu są na raz trzy w tym dwie mają właśnie na głowie problem głowy, czyli kręca — a ta trzecia co będzie dzień i noc pod rząd — nastawiona jest: na stawianie czoła — sobocie. Tej sobocie szczególnie, bo jak raz

Dalszy ciąg na str. 5

## ZDROWIE

JACEK INDELAK

# PAPIEROWA PRZESZKODA

Kolejne reformy i reorganizacje społecznej służby zdrowia nie na wiele się zdały. Lecznictwo rejonowe — ta płaszczyzna najczęstszego styku pacjenta ze służbą zdrowia — nadal kuleje. Wprawdzie administratorzy wypisują w sprawozdaniach laurki na temat zbawiennych skutków ostatnich przemian w leczeniu podstawowym, pacjenci jednak nadal psioczą i pomstują na „rejon” niewiele mniej niż przed laty. Nie ma tu sensu akademickie roztrząsanie, ile w tym winy samej służby zdrowia, a ile — samych pacjentów i ich rosnących wymagań.

Jedno jest pewne: wciąż nie jest dobrze. Wciąż pacjenci skarżą się na konieczność długiego wyczekiwania w kolejkach, na nieporozumienia z rejestratorkami. Wciąż też pracownicy służby zdrowia dwoją się i trują, żeby dogodzić swoim podopiecznym i zadowolić swoich przełożonych. I wciąż coś nie wychodzi.

Od długiego już czasu jako główną przyczynę zła — prócz niedostatecznej ciągle bazy lokalowej i kadrowej — podaje się, i słusznie, pogłębiającą się anonimowość stosunków lekarza i pacjenta, która sprawia, że współczesna przychodnia rejonowa bardziej przypomina urząd do spraw recept i zwolnień lekarskich, niż placówkę leczniczą.

Jak wykorzystać to zło, na które cierpi nasza służba zdrowia?

A gdyby tak znów uczulowić lekarza?! Gdyby przywrócić mu znów imię i nazwisko, własny życiorys i własną indywidualność. Wywać go z tłumy odzianych w białe kitle administratorów jednokami chorobowymi. Uczynić go na powrót tym jednym jedynym, który leczy nie numery kartotek, lecz swych jedynych jedynych pacjentów — żywych ludzi, z imionami i nazwiskami, z indywidualnymi życiorysami. Po prostu: pozwolić mu być takim, jakim chciałby być sam, jakim chciałby go widzieć pacjent. Po prostu — pozwolić mu być lekarzem. Nie tylko doskonałym fachowcem i sprawnym wypisywaczem zwolnień i recept, ale i — powiernikiem, doradcą, przyjaciелеm oraz autorytetem!

Coraz głośniejsze rozlegają się wołania o przeniesienie instytucji lekarza domowego na grunt naszej

Dalszy ciąg na str. 8

# OD CZWARTKU DO CZWARTKU

## SUKCES POLSKICH NAUKOWCÓW I INŻYNIERÓW

Na międzynarodowej wystawie osiągnięć naukowo-technicznych w Genewie polscy naukowcy uzyskali niedawno polską technologię wytwarzania magnetycznych pamięci drutowych dla potrzeb informatyki. Technologia ta, wraz z linią produkcyjną została opracowana i wykonana w dwóch instytutach Politechniki Warszawskiej: w Instytucie Chemii Ogólnej i Technologii Nieorganicznej oraz w Instytucie Budowy Sprzętu Precyzyjnego i Elektronicznego.

Uzyskana nagroda jest wyrazem zasłużonego międzynarodowego uznania dla naszych naukowców i inżynierów oraz dla produkcji — Zakładu Doświadczalnego Instytutu Maszyn Matematycznych w Warszawie.

### PIERWSZA NAGRODA DLA POLSKIEGO PLAKATU

Na międzynarodowej wystawie plakatu turystycznego zorganizowanej w stolicy Pakistanu Rawalpindi polski plakat zdobył pierwszą nagrodę. Na wystawie nadesłano prace z 27 krajów.

### NOWI CZŁONKOWIE RADY BEZPIECZEŃSTWA

Od 1 stycznia 1976 roku rozpoczęła kadencję nowi nielast członkowie Rady Bezpieczeństwa ONZ: Rumunia, Demokratyczna Republika Benin (dawniej Danon), Panama i Libia. Ich kadencja skończy się 31 grudnia 1977 r.

### POPRAWA WARUNKÓW BYTOWYCH STUDENTÓW

W bieżącym roku nastąpi dalsza poprawa warunków bytowych młodzieży akademickiej. Zastwierdzony przez Sejm PRL plan, w części dotyczący szkolnictwa wyższego przewiduje m. in. zwiększenie o 11,5 tys. miejsc w domach studenckich, uczelni podjętych reorganizacji, szkolnictwa wyższego i techniki. Nastąpi odciążenie poprawa w dziedzinie możliwości korzystania ze stółków studenckich. Liczba miejsc konsumpcyjnych powinna zwiększyć się według założenia planu o ponad półtora tysiąca.

Na pomoc stypendialną dla młodzieży akademickiej przeznaczona jest kwota wynosząca ok. 1,8 mld zł. O prawie 7 tysięcy zwiększy się liczba studentów, korzystających z pieniężnej pomocy stypendialnej państwa. Będą oni stanowili w 1976 r. ok. 50 proc. ogółu słuchaczy studiów dziennych.

### NIE ZNANE FRESKI MICHAŁA ANIOŁA

W podziemiu Kaplicy Medyceuszów we Florencji odkryto zupełnie przypadkowo freski Michała Anioła. Freski pokryte są dwiema warstwami tynku, których usunięcie potrwa kilka miesięcy.

### ZASADY SPRZEDAŻY DEWIZ

Ministerstwo Finansów informuje, że zasady zakupu dewiz nie zmieniają się w 1976 roku. Ulega natomiast obniżeniu z 30 do 12 proc. opłata pobierana przy zakupie dewiz krajowych socjalistycznych, z wyjątkiem rumuńskich i dinarów jugosłowiańskich, przy sprzedaży których pozostaje ona na dotychczasowym poziomie. Opłaty będą pobierane w wysokości obliczonej na podstawie do kursu wahań w ogłoszonych — tak jak dotąd — przez Narodowy Bank Polski. Kursy te będą miały zastosowanie również przy sprzedaży biletów na środki komunikacyjne na trasach zagranicznych.

Na dotychczasowych zasadach i przy utrzymaniu obowiązujących do tej pory opłat będą sprzedawane waluty krajów kapitalistycznych. Nie zmieniają się również warunki sprzedaży biletów na przeloty do tych krajów.

### ZIMA ZAATAKOWAŁA Z FURIA

Na terenie niemal całego kraju od płątku zima atakuje z furia. Wiatr niosący na drogę ponad metrę zaspy śniegu. Najwięcej dotyka na południu Polski. Śniega droga czyni wszędzie, by jak najszybciej doprowadzić drogi do stanu używalności.

Również w nocy z płątku na sobotę gwałtowny huragan przeszedł nad Europą zachodnią i spowodował śmierć 32 osób oraz ogromne straty na lądzie i morzu. Wielcy z szybkością 170 km na godzinę wiatr najwięcej ofiar spowodował w Wielkiej Brytanii; śmierć poniosło tam 25 osób, a kilkaset zostało rannych.

W Danii, chociaż kraj ten uciepiał mniej niż W. Brytania, notuje się także duże zakłócenia w transporcie drogowym, kolejowym i lotniczym oraz morskim. W nadmorskiej, południowo-wschodniej części kraju 30 tys. mieszkańców ewakuowano do odleglejszych okolic, bowiem szturm wpychał huraganem groził powódź. Specjalne ekipy pracowały bez przerwy, aby powstrzymać napływ wody.

### KREACJE „TELMENY” NA EKSPORT

Łódzki Dom Mody Przemysłu Odebięzowego „Telmena” ubierający dotąd tylko nasze dziewczęta, realizuje pierwsze zamówienia eksportowe. Już w końcu ub. roku „Telmena” dostarczyła ponad tysiąc damskich kreacji dla domu mody w Berlinie Zachodnim, obecnie przygotowuje dla tej samej firmy dwukrotnie większą partię sukienek w 7 najmniejszych wzorach.

# OD CZWARTKU DO CZWARTKU

# OKO NA GOSPODARKE

## JUTRO? NIE, JUŻ OD DZIŚ

Złożyliśmy już sobie życzenia wszelkiej pomyślności, pękło przy tej okazji „małe co nie co” butelek — no powiedzmy — szampa, no i bardzo dobrze, iż w takich właśnie panujących nam aktualnie rok 1976...

No, ale było, minęło, a teraz do sedna sprawy. Na początku dwa pytania typu ankietowego.

Pierwsze: — czy wiecie jaką wartość przedstawia tygodniowa produkcja naszego krajowego przemysłu?

I drugie z nich: — ile złotych kryje się w produktach wytwarzanych każdego dnia w polskich zakładach i fabrykach.

Wyrecze Was w szeptaniu po wydawnictwach Głównego Urzędu Statystycznego, bo wiem, że nie jest to zajęcie, do którego macie szczególne nabożeństwo.

No więc wygląda to tak: każdego tygodnia, oczywiście średnio biorąc, nasz przemysł krajowy wytwarza rozmaite wyroby przedstawiające wartość — licząc na okrągło — 40 miliardów złotych. Z tego dosyć prosy rachunek, że każdego dnia — biorąc pod uwagę sześć dni pracy — w różnych fabrykach i zakładach rozrzuconych po całej Polsce, powstają produkty wartości przekraczającej grubo 6 miliardów złotych. Dokładnie — 6.666.666 tys. złotych.

Po co jednak postawilem te dwa pytania, czemu mają one tutaj służyć i co ilustrować?

Otóż dosyć istotną rzeczą a przede wszystkim wartością czasu.

Sądę, a w tym przekonaniu na szczęście nie jestem odosobniony, że nie wszyscy jeszcze w pełni uświadamiają sobie, jaką jest prawdziwa, bardzo wymierna wartość czasu w tym konkretnym przypadku nominalnie przeznaczonym na pracę, produkcję naszego przemysłu, który w końcu jest tylko jedną z dziedzin krajowej gospodarki. Mówiąc szczerze ten problem chciałbym właśnie teraz u progu roku 1976 podjąć, jako że najodpowiedniejsza ku temu pora.

Dlaczego?

Pozwól sobie w tym miejscu na dygresję ogólniejszej natury, ale ściśle wiążącą się z tematem również zracającą o kwestie postaw, rozumienia pewnych zjawisk, właściwego reagowania na takie podchodzenie przeciwieństw nie tylko do wartości, które zawiera w sobie każdy dzień, ba — godzina, minuta pracy nie tylko przy maszynach, na stanowisku robotniczym. Nie jest w końcu tajemnicą, że w wielu jeszcze przedsiębiorstwach, zakładach czy instytucjach wyznawana jest i stosowana swoista filozofia „spółowego „rozkręcania”, że początek każdego miesiąca, kwartału czy roku tu i ówdzie traktuje się jako czas dobry na „odsapkę”, odpoczynek po wyczerpującym wszystkim energię, zapobiegliwość i siły finansu. To jest trochę tak jakby nam się wtędy, w tych pierwszych dniach miesiąca czy tygodnia mniej spieszyło, jakby czas miał tutaj inną wartość aniżeli pod koniec okresu rozrachunkowego, kiedy wypada się rozliczyć z efektów pracy, z wykonania zadań. Tak mówiąc nie zamierzam równocześnie tutaj nikogo wytykać palcem, wymienić z „nazwiska” bo obawiam się, że jest to przywara o niezmiernie szerokim zasięgu, bywa że traktowana nawet jak swoisty dopust boży, szczególna cecha immanentnie związana z naszym charakterem i sposobem życia, tudzież pracy, z którą trzeba jakoś współżyć bo po prostu innej rady na to nie ma.

Chciałbym w tym miejscu zauważyć, że przytoczony wcześniej rachunek pewnie zawiera w sobie owe utracone wartości zapraszczone w okresach rozkręcania się trybów maszynowej produkcji, tak więc faktycznie rozmiary wartości ukryte w czasie są w istocie znacznie większe, chciałbym powiedzieć, że mogłyby być o wiele większe.

Można się tutaj zastanawiać nad przyczynami takiego stanu rzeczy, wskazywać na niedoskonałość modelu organizacyjnego w wielu jeszcze dziedzinach gospodarowania, ba nawet pewnie niezbyt chwalebnej marki nawyki czy przyzwyczajenia, tylko że wszystko to razem biorąc nie jest usprawiedliwieniem, wreszcie — nie upowiadając każdego z nas z osobna do traktowania tego zjawiska jako zła koniecznego. Jest przy tym rzeczą ciekawą, ale i niezmiernie charakterystyczną, że bezbłędnie potrafimy ocenić skutki takiego stopniowo narastającego stylu pracy u innych, natomiast znakomicie mniej krytyczni jesteśmy w tym względzie do własnych „dokonań”.

Ileż to przecież „wiązań” się budowlani pod adresem projektantów za nie dopracowaną w pośpiechu na skutek takiego „rozkręcania się”, dokumentacji, jak w wielu przypadkach cierpią na tym jakoś ostatecznego produktu nie tylko w budownictwie, ile jest kłopotów, niepotrzebnej mitręgi na skutek pływających się nagłe surowców, bądź półfabrykatów, wreszcie — jak wiele tracimy wręcz marnujemy beżmyślnie ludzkich sił, zdrowia i środków, które można by z powodzeniem przeznaczyć na inne ważne społecznie i ekonomicznie cele. Wiedzą coś o tym nie tylko główni księgowi skwapliwie wyliczający godzinny nadliczbowy, ale również lekarze opiekujący się stanem zdrowia

załóg fabrycznych w tym również zespołów kierujących, organizujących produkcję.

No i co? Niestety, daleko nam jeszcze do sytuacji, w której moglibyśmy powiedzieć, że zdołano w naszym kraju przeskokować jeszcze jedną barierę — jak kto chce — techniczną, organizacyjną czy psychologiczną.

A trzeba pokonać i tę „poprzeczkę”, jeśli oczywiście cele społeczne polityki gospodarczej przyjęte na VII Zjeździe PZPR i powszechnie aprobowane mają być osiągnięte bez najmniejszego poślizgu. Oczywiście, w tym miejscu można by zasypać naszych Czytelników lawiną liczb i wskaźników składających się na ostateczny kształt ekonomicznego i społecznego rozwoju, który zamierzamy osiągnąć w latach 1976—1980. Zrezygnuj z tego, bowiem po prostu sądzę, że są one bardzo dobrze znane, a już z całą pewnością bardzo szczegółowej analizie poddawano te wszystkie zadania, które określają jakość naszego życia w nadchodzącym pięćdziesięciu, a więc choćby przewidywany wzrost dochodów ludności, rozmiary produkcji towarów konsumpcyjnych, rozwój budownictwa mieszkaniowego — że ograniczyć się do wymiany tych dziedzin w charakterze przykładu.

I na to też zgoda. Wszakże każdy medal ma zawsze dwie strony, a w tym (czy tylko?) konkretnym przypadku, jeśli tak pierwszą pokazującą przysłą jakość naszego życia przyjmijmy za awers, to rewersem, odwracając kolej rzeczy, będzie nie innego, jak tylko jakość naszej pracy. I tutaj musimy sobie zdawać w pełni sprawę z tego, że na owe pojęcie składają się już dźwiał zupełnie inne elementy aniżeli było to nawet ledwie pięć lat temu. Jestem bowiem skłonny utrzymywać i lansować tezę, że dziś nie wystarczy już prawidłowo wykonywać czynności związane z wytwarzaniem jakiegoś produktu, towaru, słowem — być tylko rzetelnym w wykonywaniu swoich obowiązków. Oczywiście — i w tym względzie jest jeszcze bardzo wiele do zrobienia, lecz jeszcze więcej czeka na nas zadań w dziedzinie intensywnego wykorzystania środków technicznych, materialnych, jakimi już dysponujemy. Jest przecież prawdą, że nasz krajowy przemysł odmiłdował w minionym pięćdziesięciu laty. Jest prawdą, że obryzamy ilość zakładów dysponuje już środkami produkcji, których wiele liczy się nie na dziesiątki, lecz ledwie kilka lat... od powstania prototypu tych maszyn i urządzeń. „Filozofia” odsapki ma więc w tym przypadku zwielokrotnione następstwa: po prostu marnujemy więcej, jeśli nie potrafimy wykorzystać każdego dnia możliwości tkwiących w sile i wartości tych maszyn.

Ala — czy tylko maszyn? Byłoby to bardzo uproszczone ujęcie. Ile bowiem marnuje się równocześnie możliwości, energii, umiejętności człowieka, przecież coraz lepiej przygotowanego, wyszkolonego, na to też trzeba było czasu, no i środków, mówiąc krótko — pieniędzy. Nie stać na to najmniejszych społeczeństw, nie mówiąc już o tych, które są na „dorobku”, inwestuje się przeciwieństwo, nie po to, by... inwestować, ale z myślą o osiągnięciu konkretnego celu. W warunkach ustroju socjalistycznego takim celem nadrzędnym jest rozwój społeczny, polepszenie warunków życia i pracy nas wszystkich, bogatszy „bochenek chleba” do podzią, jakże więc można spokojnie patrzeć na stosowaną jeszcze tu i ówdzie praktykę „odjutrkowania”, czyli dobrej roboty nie od dziś, lecz od — no powiedzmy — jutra.

Tak, to prawda, że potrafimy wiele zrobić entuzjazmem, zaangażowaniem, zrywem — dowiedliśmy tego już niejednokrotnie. Ranga i wielkość zadań, które podejmujemy, wymaga jednak czegoś zupełnie odmiennego. Mówiąc wprost — maksymalizacji wysiłku. Tylko nie od jutra, Od zaraz, od dziś.

# TELEWIZJA

## PROPOZYCJE PROGRAMOWE

### CZWARTEK, 8.I. — program I:

18.30 — W cyklu „EKRAŃ I ZYCIE” — „Dr Jekyll i Mr Hyde”. W nawiązaniu do telewizyjnego spektaklu Jerzego Antczaka z 1964 roku, w programie ukazane zostaną różne punkty widzenia problemu rozwoju jałmi swoje poglądy przekazał: psycholog, neurofizjolog, psychiatra, etyk oraz filozof. Program poprowadzi prof. Janusz Reykowski.

20.25 — ZA NIMI SZŁA ŚMIERĆ — filmowy dramat włoski w reżyserii Folco Lulli, zrealizowany w kolorze. Film (od lat 16) o wielkiej akcji polacji przeciwko aycyliście mał.

PROGRAM II:

17.30 — Bohaterem „HUTNICZEJ OPowieści” jest senior Krośnieńskiej Huty Szkła — Bronisław Kuter.

18.00 — Wśród „LUDZI Z PIERSZYCH STRON” poznamy m. in. prof. dr Kazimierza Urbanika, rektora Uniwersytetu Wrocławskiego i Helenę Dura, mieszkankę wsi Mała Wieś Nowa w woj. opolskim, nagrodzoną „Orderem Srebra”.

20.40 — W programie „LAUREACI KONKURSU W GENEWIE” wystąpi Olga Opaterek, młoda radzicka harfistka, laureatka I nagrody Gra Orkiestra Szwajcarii Romantycznej, dyryguje Jean Marie Anderson.

PIĄTEK, 9.I. — program I:

18.20 — MOJA PRZYJACIÓŁKA ARIVANA — to dokumentalny film hiszpański, wyświetlony w serial „CZŁOWIEK I PRZYRODA” (kolor).

21.20 — „SERENITE” — widowisko telewizyjne wg opowiadania Jaroslawa Iwaszkiewicza, zrealizowane przez Krystynę i Michała Bogusławskich, w kolorze. Grają: Maja Komorowska i Gustaw Holoubek.

21.50 — „PODRÓŻA Z HAGA-WEM” — film rozrywkowy w reżyserii Krzysztofa Riege (kolor).

PROGRAM II:

17.00 — Z VIVALDIM W LIPSKU — graja: I Filharmonia del Teatro Comunale di Bologna, dyryguje Angelo Ehrhard (kolor).

21.00 — „PAMIĘTĘ DNI” — dramat wojenny TV CSRS w reżyserii Ivana Terena. Tem filmu jest Powstanie Słowackie.

SOBOTA, 10.I. — program I:

14.00 — Z DRUGIEJ STRONY KAMERY — reportaż filmowy, przyrodni jak powstały „NOCE I DNI”.

15.00 — Tradycyjnie, w wolną sobotę, rozpocznie się popołudniowo-wieczorny blok programowy Mariusza Waltera — „STUDIO 2”.

PROGRAM II:

15.50 — GODZINA „GAWĘDY” — przedstawienie działalności artystycznej i pedagogicznej popularnego zespołu oraz jego twórcy — Andrzeja Kieruzalskiego.

20.20 — Recital zespołu instrumentalno-wokalnego „Eden”.

### 22.05 — Projekcja sensacyjno-kryminalnego filmu prod. NRF pt. „ROZKŁAD JAZDY”.

NIEDZIELA, 11.I. — program I:

18.40 — Miłośnicy „Starego Kina” obejrzą „ZWARIOWANE KOMEDIE” — program filmowo-studencki, poświęcony znanym komediom z lat 20-tych.

14.00 — PASJA-PRZYGODA-RYZYKO: program pt. W GORACH I DOLINACH ETIOPII”, popularizujący polskie wyprawy do Afryki.

21.20 — W cyklu „KOZE MONTREUX” projekcja angielskiego filmu rozrywkowego pt. „ZANIKAJĄCE GATUNKI” (kolor).

21.45 — „SAM NA SAM” z Jerzym ANTczAKIEM.

PROGRAM II:

18.00 — Lidia Korsakówna wystąpi w cyklu „CO NAM ZOSTAŁO Z TYCH LAT”.

21.40 — W „Przełajdzie twórczości telewizyjnej Adama HANUSZ-KIEWICZA” wznawiona zostanie telewizyjna adaptacja opowiadania J. C. Korzeniowskiego „AMY FOSTER”.

PNIEDZIELA, 12.I. — program I:

20.20 — Teatr Telewizji wystawi premierę jednego z najwybitniejszych dramatów Antona Czechowa — „PLATONOW”. W sztuce tej Czechow (1869—1904) podejmuje temat, do którego jeszcze niedługo nie powraca: krytyka bezideowości i zagubienie inteligencji w XIX wieku. Spektakl reżyseruje Bogdan Hussakowski, w roli tytułowej — Jerzy Trela. Przedstawienie Teatru Poniżalskiego przygotował Zespół Krakowski Telewizyjny Polskiej. Spektakl powtórzy będzie w programie II 13.I. o 17.30.

22.55 — W inscenizowanym cyklu „WIECZORNY GOSĆ” w tej roli wystąpi Janusz Zakrzewski.

PROGRAM II:

21.35 — „ROSTOCK WITA PRZYJACIÓŁ I GOSCI” — program muzyczno-rozrywkowy TV NRD.

WTOREK, 13.I. — program I:

17.00 — „SYLWETKI X MUZYKI” proponują miłośnikom filmu dokumentalnego z Jadwigą Barańską, odtwórczynią głównej roli w „NOCACH I DNIACH”.

20.35 — „PERSONEL” — film Telewizyjny Polskiej, dramat psychologiczny w reżyserii Krzysztofa Kieślowskiego.

PROGRAM II:

20.20 — WTOREK MELOMANA, a w nim: B. Brittena — „Koty-sanka” oraz kolejny występ w cyklu „LAUREACI KONKURSU CHOPINOWSKIEGO”.

SHODA, 14.I. — program I:

20.20 — FilMOTEKA Arcywdział wyświeli angielski dramat psychologiczny pt. „BAXTER”. Film w kolorze reżyseruje Lionel Jeffries.

PROGRAM II:

20.20 — Mistrzostwa Europy w jeździe figurowej na lodzie (z Genewy — kolor).

## PRODUKCYJNA SAGA

Miliony rok telewizyjny został zamknięty filmowym szlagierem, bo tak można by określić „Dyrektorów”, gdyby nie obawa, że określenie to deprecjonuje rangę serialu, który jest jednym z najistotniejszych dokonań telewizyjnych w latach ostatnich. Ale „Dyrektorzy” mieli coś z chwytliwego serialu, który łatwo zapada w pamięć i wraca przy gołębieniu. Serial ten już po pierwszym, drugim odcinku pozostawił w nas, przedświata, „kupiony” i słyszało się o nim w kawiarni. Ta potoczna socjologiczna kolekcja, jest bardzo ostrożna, jeśli nie naprawdę przez film wyrażana, to przynajmniej na społeczne wyobrażenie o niej. I odwrotnie — zdając pomyślnie ten społeczny egzamin „Dyrektorzy” zbiorowe wyobrażenia oficjalnie afirmują i firmują zarazem. Słowem służą propagandzie, przywracając jej autentyczny sens i wartość.

W ten sposób udało się w kinie polskim od lat cierpiącym na kompleks współczesności rzecz nader rzadką: powstał film, któremu się wierzy, który próbował techną życia w swoich bohaterów i przedstawiał rzeczywiście spójną i wiarygodną. Po marginesie tego sukcesu warto odnotować dwa paragrafy. Po pierwsze — „Dyrektorzy” narodził się w kawiarni. Ta potoczna socjologiczna kolekcja, jest bardzo ostrożna, jeśli nie naprawdę przez film wyrażana, to przynajmniej na społeczne wyobrażenie o niej. I odwrotnie — zdając pomyślnie ten społeczny egzamin „Dyrektorzy” zbiorowe wyobrażenia oficjalnie afirmują i firmują zarazem. Słowem służą propagandzie, przywracając jej autentyczny sens i wartość.

W ten sposób udało się w kinie polskim od lat cierpiącym na kompleks współczesności rzecz nader rzadką: powstał film, któremu się wierzy, który próbował techną życia w swoich bohaterów i przedstawiał rzeczywiście spójną i wiarygodną. Po marginesie tego sukcesu warto odnotować dwa paragrafy. Po pierwsze — „Dyrektorzy” narodził się w kawiarni. Ta potoczna socjologiczna kolekcja, jest bardzo ostrożna, jeśli nie naprawdę przez film wyrażana, to przynajmniej na społeczne wyobrażenie o niej. I odwrotnie — zdając pomyślnie ten społeczny egzamin „Dyrektorzy” zbiorowe wyobrażenia oficjalnie afirmują i firmują zarazem. Słowem służą propagandzie, przywracając jej autentyczny sens i wartość.

„Dyrektorzy” przyswiałała inspiracją bardziej publicystyczną aniżeli artystyczną. Argumentem na rzecz tego filmu szukać należy w racjach natury politycznej i pragmatycznej w jej sensie produkcyjnym czy ekonomicznym, a nie w uniwersalizujących kategoriach sztuki. To publicystyka ekranowa, która stanowi możliwie wierny dokument kilkunastoletniej historii tego kraju i tego społeczeństwa, panoramą historyczną „ducha czasu”, który przeżywamy. Mimo iż twórcy filmu zadali o możliwości wszechstronną charakterystykę bohaterów oglądanych w życiu nie tylko zawodowym, ale również prywatnym, to jednak stwierdzić trzeba, że psychologia bohaterów służyła łatwym torem ogranych stereotypów i skojarzeń (np. te znane już na pamięć konflikty małżeńskie). Istota „Dyrektorów”, ich zasadnicza sugestia płynie z akcji produkcyjnej, czyli z tego co dzieje się w owym fikcyjnym „Fabelu”.

„Dyrektorzy” są bowiem rehabilitacją produkcyjniaka, tego gatunku, który święcił triumfy w literaturze i filmie lat 50-tych. Jednakże problematyka produkcyjna, którą serial obraża nie jest zawarta w kanonie ideologicznych deklaracji, lecz obfituje w autentyczne konflikty postaw, życiowych konieczności i politycznych koniunktur. Serial powstał w oparciu o doskonały scenariusz piera Andrzeja Szypulskiego i Aleksandra Minkowskiego, wytrawnych reportażystów i ich dziennikarskiej pracy poprzez losy dyrektorskich karier, to pokazać prawdziwie niewątpliwie zawiązania procesów społeczno-politycznych w społeczeństwie socjalistycznym. Ten fabularny pomysł okazał się efektywnym pryzmatem rozszepalającym niezwykle bogactwo problematyki. Dyrektorzy są filmem politycznym, a to w tym przypadku oznacza umiejętność przełożenia politycznych pryncypiów na ludzkie zachowania, sytuacje i sposoby myślenia. W serialu tym nieoczekiwanie udało się ukazać trudne meandry naszej historii najnowszej, ukazać może w sposób niezapamiętany uwolniony od uproszczeń i skrótów, ale globalnie przekonujący. W „Dyrektorach” historia jest przedstawiona i skomentowana z perspektywy dnia dzisiejszego, który minione doświadczenia sumuje i ocenia, a jednocześnie wyznacza projekt przyszłości. Reżyserowi Chmielewskiemu dabo się zorganizować bogaty materiał scenariuszowy w opowieść zawartą i epicko zamasztywą — prawdziwą sagą telewizyjną.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

Red. Jerzemu WILMAŃSKIEMU z powodu śmierci

OJCA

serdeczne wyrazy współczucia

składają

koleżanki i koledzy z redakcji

„Odgłosów”

Kol. Jerzemu WILMAŃSKIEMU z powodu śmierci

OJCA

serdeczne wyrazy współczucia

składa

Zarząd Oddziału i Egzekutywa POP

Związku Literatów Polskich w Łodzi

K. POGORZELEC

# ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, JAN JANICKI (redaktor techniczny) WIESŁAW JAZDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI. Stałe współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, BERNARD SZTAJNERT.

# NAUKA

W okresie ostatnich pięciu lat ukształtowały się i umocniły organizacyjnie jednostki zajmujące się naukami praktycznymi w poszczególnych uczelniach Łodzi. Rozwijają

ła się na stabilizacji zespołów naukowo-dydaktycznych. Widomym efektem tych wysiłków jest fakt, że przedmiot podstawy nauk politycznych stał się integralną częścią całego procesu dy-

tycznej ze studentami Akademii Medycznej w Łodzi. Sądzą, że podobne zmiany mają również miejsce wśród studentów Uniwersytetu Łódzkiego i Politechniki Łódzkiej. Nie pomniejszając wysiłku i wkładu pracy zespołów nauczających podkreślić wszakże należy, że ta nowa sytuacja w środowisku studenckim jest wyrazem pozytywnych przemian dokonujących się w naszym społeczeństwie w ostatnim okresie.

### WARUNEK ROZWOJU

Dalszy wzrost roli nauk politycznych w procesie ideowego kształcenia młodzieży akademickiej zależy przede wszystkim od rozwoju badań naukowych podejmowanych przez łódzkie środowisko politologiczne. Dotychczasowe wyniki w tej dziedzinie koncentrują się wokół pisania prac doktorskich. Problematyka badawcza tych prac jest bardzo różnorodna i w większości przypadków mieści się ona w kręgu zainteresowania historią, socjologią czy ekonomią. Przyczyną tego należy upatrywać w małej liczbie samodzielnych pracowników naukowych, zajmujących się politologią. Stąd właśnie wynikają trudności w znalezieniu w Łodzi promotora pracy doktorskiej z zakresu nauk politycznych. W tej sytuacji pracownicy nauk politycznych uczestniczą w seminariach doktorskich na różnych wydziałach Uniwersytetu Łódzkiego, oraz w uczelniach Warszawy, Wrocławia, Poznania, czy Katowic. Powoduje to cały

łódzkimi politologami stoi pilne zadanie wypracowania zintegrowanego programu badań, który mógłby być podstawą naukowej działalności powstającego instytutu.

### JAKI POWINIEN BYĆ PROGRAM?

Zapoczątkowana w końcu ub. roku akademickiego dyskusja nad programem badań naukowych oraz organizacyjnym kształtem Międzyuczelnianego Instytutu Nauk Politycznych nie wykroczyła poza wstępną wymianę poglądów. Sądzą, że jest sprawą ze wszech miar pożądaną, aby w łódzkim środowisku pracowników nauk politycznych podjęta szeroka dyskusja nad wieloma problemami pracy naukowo-badawczej. Do tej dyskusji powinniśmy zaprosić również przedstawicieli innych dyscyplin nauk społecznych.

Przystępując do pracy nad sformulowaniem łódzkiego programu badań naukowych w dziedzinie politologii należałoby wziąć pod uwagę istniejący stan prac naukowych, rzeczywiste potrzeby społeczno-politycznej działalności partii oraz realne możliwości środowiska w chwili obecnej i przyszłości. Sądzą, że środowisko nasze winno skoncentrować swój wysiłek naukowy na wszechstronnej analizie przemian społeczno-politycznych zachodzących wśród klasy robotniczej Łodzi w okresie Polski Ludowej. Burzliwy rozwój liczebny łódzkiej klasy robotniczej oraz jakościowe przeobrażenia jakie się wśród niej

# NIE TYLKO HISTORIA

# KULTURA I PRZESZŁOŚĆ

Po świetnej książce Geoffrey Barraclougha, łmie esejów Mircea Eliade, dziełach Konstantego Grzybowskiego, Eberharda Jäckela, Mariana H. Serejskiego, by wymienić tylko książki o tematyce historycznej, w Bibliotece Myśli Współczesnej ukazała się (1975) praca amerykańskiego historyka i antropologa kultury Philipa Bagby'ego pt.: „Kultura i historia. Prolegomena do porównawczego badania cywilizacji”. Autor, urodzony w 1918 r. w Richmond w stanie Virginia, przeżył niebanalną drogę życiową. Przez jakiś czas był w służbie dyplomatycznej, był wicekonsulem w Casablance i Kalkucie. Dopiero w 1949 roku zrezygnował z kariery dyplomatycznej i poświęcił się badaniom naukowym. Inaczej niż wielu innych eks-dyplomatów, których połączona przede wszystkim historia polityczna czasów najnowszych, zajął się badaniami historycznymi i antropologicznymi nie mającymi właściwie żadnego odniesienia do jego poprzedniej profesji. Uczeń wybitnego uczonego Alfreda Kroebera, zapewne pod jego wpływem zafascynował się możliwościami poznawczy mi antropologii kultury. Z tych fascynacji powstała książka „Kultura i historia”, opublikowana po raz pierwszy w 1958 roku w Londynie, dziełko napisane w niespotykanej passji, prezentujące program reformowania nauk historycznej w oparciu o osiągnięcia i propozycje antropologii kulturalnej.

Nasz wybitny historyk Jerzy Tapolski, który poprzedził polskie wydanie dziełka P. Bagby'ego obszerną przedmową, słusznie podkreślił związki koncepcji amerykańskiego historyka z innymi, analogicznymi próbami przekształcenia czy „odrodzenia” nauki historycznej, w oparciu o dorobek innej dyscypliny naukowej, uważanej przez reformatorów za bardziej rozwiniętą. Przede wszystkim nasuwa się tu analogia z tak zwaną, bardzo popularną na obszarze piśmiennictwa amerykańskiego, psychohistorią, która wśród swych naukowców liczy Zygmunta Freuda. Twórcą psychoanalizy interesował się młodymi z zastosowaniem własnych idei dla wyjaśnienia historycznego, sam też podjął prace nad życiem kilku wybitnych twórców sztuki, starając się opanować ich postępowanie przy pomocy podświadomości. Znaczenie dalej poszli jego naśladowcy: dzisiaj można już mówić o istnieniu całego nurtu psychohistorii, który w nauce amerykańskiej rodzi tyleż dyskusji, co zyskuje sobie zwolenników. Entuzjastów widzą w psychohistorii lekarstwo na wszystko, nierazko posuwają się nawet do budowania koncepcji wprost absurdalnych, jak głośny wywód amerykańskiego historyka R. Biniona na temat podświadomości przyczyn stanowiącego politycznego, zajętego przez władzę Belgii w drugiej połowie lat trzydziestych: miałyby ono zostać zdeterminowane przez kompleks „abyły wcześniej, podczas tragicznego wypadku samochodowego! Bardzo czekam na mającą się ukazać tego samego autora rozprawę o Hitlerze: będzie pewnie również interesująca, jak absurdalna. O psychohistorii stara się wyjaśnić ludzkie postawy i działania tkwiącymi w człowieku jako organizmie podświadomymi kompleksami, instynktami itd., to strukturalizm w swojej skrajnej postaci, który również poszukuje nieświadomych motywacji ludzkich zachowań, odnajduje je w czym innym: w jakichś podświadomych strukturach ludzkiego umysłu, które zdaniem Claude Lévi Straussa mają być czymś ponadczasowym i pozahistorycznym, nie reagującym na dziejową zmienność i nie zmieniającym się. I psychohistoria, i historia budowana w oparciu o tego rodzaju koncepcje strukturalistyczne, mają tę wspólną cechę, że zaprzeczają one człowiekowi rolę świadomego twórcy swoich własnych dzieł, że poszukują napędowych sił procesu historycznego w czynnikach wprowadzających już nie — jak czyniono to dawniej — znajdujących się poza człowiekiem, w jakiejś idej sprawie, czy równie sprawczych anonimowych, rozumianych przyrodniczo prawach dziejowych, całkowicie niezależnych od ludzkiej woli, ale w samym człowieku, wszakże jednak nie jako w świadomej jednostce społecznej, ale w... jednostce biologicznej. I z tej racji można te nowe koncepcje interpretować jako nowe wcielenia starego naturalistycznego pojmowania procesu dziejowego.

Coś z tego, cośmy powiedzieli, odnosi się także do programu „zdrowienia” nauki historycznej, proponowanego przez P. Bagby'ego. Nie jest on wprawdzie tak skrajny i jednostronny, jak wspomniane przed chwilą, ale przecież skłania do jakiegoś niepokoju. Dążenie do redukcji ludzkich zachowań do określonych regularności czy stałych wzorów zawiera w sobie coś niebezpiecznego, bowiem prowadzi w konsekwencji do ahistoryzmu. Nie zawsze udało się go uniknąć amerykańskiemu autorowi. Czasem zaś formułuje on zdania rzeczywiście prowokujące do sprzeciwu. Interesujące. Polski krytyk koncepcji P. Bagby'ego nie bez racji podkreślał: „Autor słusznie zwalcza historię zdarzeniową i domaga się od historyków głębszych ujęć, lecz w gruncie rzeczy pozostaje na poziomie opisu, tyle, że ustytnego opisu, tzn. tam, gdzie jednostki tego opisu są „większe” — kultury i ewolucji. Problem wyjaśniania dziejów pozostaje wszakże nadal otwartym. Nie można bowiem, jak sądzimy (a jest to stanowisko głęboko uzasadnione już dawniej przez K. Marksa), wyjaśniać dziejów przez złamanie zasady histo-

ryzmu”.

LEKTOR

## WŁADYSŁAW STEFANIUK

# POMÓC ZROZUMIEĆ ŚWIAT

działalność dydaktyczną, doskonaliły one jednocześnie programy nauczania oraz czyniły wysiłki nad podniesieniem poziomu kadry nauczającej. Pomimo wielu trudności i niepowodzeń należy stwierdzić, że nauczanie tego przedmiotu stanowiło istotny wkład w realizację polityki partii określonej przez VI Zjazd PZPR. Podstawy nauk politycznych stworzyły płaszczyznę dla bardziej gruntownego zapoznania się przez środowisko studenckie z założeniami polityki partii oraz warunkami dla swobodnej dyskusji wokół wszystkich istotnych problemów współczesności. Oczywiście jest, że stopień wykorzystania tych możliwości przez zespoły nauczające określał wpływ tego przedmiotu na kształtowanie socjalistycznych postaw młodzieży studenckiej. Dydaktyka nauk politycznych, główne swoje zadania upatruje w naukowym wyjaśnieniu mechanizmów zjawisk politycznych i społecznych występujących w kraju i na świecie.

### PROBLEM NR 1 — KADRA

Nauki polityczne stwarzają bardzo poważne trudności dla prowadzących zajęcia. Wymagają bowiem z jednej strony gruntownej znajomości marksistowskiej nauki o społeczeństwie, a więc podstaw ekonomii politycznej, historii Polski i historii powszechnej — szczególnie najnowszych dziejów politycznych, marksistowskiej nauki o państwie i prawie, wiedzy o partii i systemach partyjnych, marksistowskiej socjologii oraz elementów demografii i statystyki społecznej. Trudno też sobie wyobrazić właściwą realizację nauk politycznych bez gruntownej znajomości podstaw filozofii marksistowskiej.

W pracy dydaktycznej nie można poprzestać jedynie na opisie zjawisk społeczno-politycznych, trzeba również dawać ich ocenę z punktu widzenia ideologii socjalistycznej. Oczywiście jest, że jeśli oceny te mają trafić do przekonania, to muszą być formułowane w oparciu o wszechstronną i rzeczową argumentację. Dlatego też prowadzący zajęcia powinien dobrze orientować się we współczesnych wydarzeniach politycznych, społecznych i ekonomicznych.

Te trudności pogłębia fakt, że kadra naukowo-dydaktyczna, podejmująca

dydaktycznego szkoły wyższej. Jest on realizowany w łódzkich uczelniach przez 53 pracowników naukowo-dydaktycznych. Zasięg i skuteczność oddziaływania ideowo-politycznego nauk politycznych uwarunkowana jest dalszym doskonaleniem pracy dydaktycznej i to zarówno całych zespołów studiów nauk politycznych jak i poszczególnych pracowników. Jest to zadanie szczególnie ważne i pilne ze względu na zarysowującą się zmianę



Fot. Archiwum

stosunku środowiska studenckiego do nauk politycznych.

W okresie ostatnich dwóch lat widać wyraźny wzrost zainteresowania studentów współczesną problematyką społeczno-polityczną. Nauki polityczne nie są już dzisiaj traktowane jako „zło konieczne”, czy też jako dodatkowe i zbędne obciążenie w procesie studiów. Prowadzone w ubiegłym roku sondaże ankietowe opinii studentów Akademii Medycznej wykazały, że zdecydowana większość (75 proc. studentów III roku) jest zdania, że znajomość mechanizmów i prawidłowości życia społeczno-politycznego jest dla przyszłego lekarza potrzebna względ-

szereg kłopotów i w rezultacie tego stopień zaawansowania pracy nad rozprawami doktorskimi jest różny i w ogólnym rachunku raczej niezadowolający. W okresie ostatnich siedmiu lat stopień doktora uzyskał zaledwie jeden pracownik, a dwóch znajduje się w okresie bezpośrednich przygotowań do obrony swoich dysertacji.

Rozproszenie tematyki badawczej oraz wyłączenie indywidualny charakter prowadzonych badań naukowych nie sprzyjały procesowi przekształcania istniejących jednostek dydaktycznych w prężne i zintegrowane środowisko naukowe. Możliwość zmiany tej sytuacji pojawiła się w maju 1974 r. kiedy to Wydział Nauki i Oświaty Komitetu Łódzkiego PZPR wystąpił z inicjatywą przyspieszenia procesu integracji nauk politycznych w Łodzi. W oparciu o gruntowną ocenę istniejącej sytuacji podjęto wówczas decyzję o powołaniu Międzyuczelnianego Instytutu Nauk Politycznych przy Uniwersytecie Łódzkim. Stanowisko łódzkiej Instancji partyjnej znalazło pełne poparcie kolegium rektorów wyższych uczelni Łodzi i zostało z zadowoleniem przyjęte przez pracowników naukowych, zajmujących się naukami politycznymi.

### POCZĄTEK INTEGRACJI

W styczniu 1975 r. zorganizowano sympozjum naukowe w związku z 30 rocznicą powstania Polski Ludowej i 30 rocznicą wyzwolenia Łodzi. Zaprezentowano wówczas wyniki badań nad najnowszą historią polityczną uwzględnieniem powojennych dziejów Łodzi i regionu łódzkiego. W kwietniu 1975 r. odbyła się sesja naukowa poświęcona 30-leciu socjalistycznej wspólnoty państw Europy Wschodniej i Środkowej. Były to pierwsze w Łodzi spotkania naukowe wszystkich pracowników nauk politycznych. Spełniły one istotną rolę we wzajemnym zapoznaniu się z problematyką i zakresem prowadzonych badań przez poszczególnych pracowników. Jednocześnie stanowiły punkt wyjścia dla rozpoczęcia pracy nad wspólnym programem badań naukowych.

Wiosną 1975 r. rozpoczęto intensywną działalność zmierzającą do zorganizowania Międzyuczelnianego Instytutu Nauk Politycznych w Łodzi. Aktualnie sprawa ta znajduje się w przededniu formalnych decyzji Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. W tej sytuacji przed

dokonywały nie pozostawały bez wpływu na jej oblicze ideowo-polityczne. Ważnym problemem badawczym jest też poznanie roli i wkładu klasy robotniczej Łodzi oraz jej organizacji politycznych i związkowych w rewolucyjne przeobrażenia społeczne, w odbudowę kraju i w utrwalenie władzy ludowej. Jest to tym ważniejsze, że dotychczasowe wyniki badań nad tą problematyką mają charakter przy-

czynnikarski. Szczególne miejsce w proponowanym programie winna zająć problematyka związana z powstaniem i działalnością łódzkiej organizacji Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Zawiera się w tym problemie szeroki wachlarz tematów. Ot choćby przykładowo: organizacyjny i liczebny rozwój łódzkiej organizacji partyjnej oraz zasięg jej wpływów w społeczeństwie; jaki był wpływ dokonujących się przemian strukturalnych wśród łódzkiej klasy robotniczej na działalność łódzkiej organizacji PZPR?; poznanie procesu realizacji generalnych założeń polityki PZPR w dziedzinie rozwoju społeczno-gospodarczego, kultury, oświaty i ochrony zdrowia przez łódzką organizację partyjną; analiza przemian świadomości społecznej dokonujących się na bazie pomyślnego wykonania założeń programu rozwoju Łodzi, opracowanego przez łódzką instancję partyjną w latach siedemdziesiątych. Warto przy tym zwrócić uwagę, że historia i działalność łódzkiej organizacji PZPR do chwili obecnej nie stanowi przedmiotu badań naukowych.

Nasuwa się natomiast pytanie czy łódzkie środowisko nauk politycznych jest w stanie podjąć tak odpowiedzialny program pracy naukowo-badawczej? Pomimo występujących trudności jest to w moim przekonaniu program w pełni realny, a środowisko politologiczne jest predestynowane do podjęcia badań o charakterze interdyscyplinarnym. Skupia bowiem ludzi o różnych specjalnościach, a więc zdolnych podjąć pracę badawczą nad problematyką łódzkiej klasy robotniczej w płaszczyźnie wieloaspektowej. Nie bez znaczenia jest również fakt, że proponowana tematyka pozwala nawiązać pożądaną współpracę naukową z przedstawicielami łódzkiej socjologii, historii i ekonomii prowadzącymi również badania w tej dziedzinie.

Mgr WŁADYSŁAW STEFANIUK kierownik Zakładu Nauk Politycznych Akademii Medycznej w Łodzi.



Fot. Archiwum

pracę na studiach nauk politycznych, legitymuje się bardzo różnorodnym stopniem przygotowania do realizacji tego przedmiotu. W zasadzie są to ludzie posiadający wykształcenie uniwersyteckie z dziedziny historii, prawa, ekonomii czy socjologii. Z punktu widzenia nauk politycznych jest to przygotowanie raczej jednostronne. Stąd też pierwszy rok ich pracy wymaga bardzo solidnego przygotowania się do zajęć ze studentami.

### ROSNĄCE ZAINTERESOWANIE

Dotychczasowa działalność w poszczególnych uczelniach koncentrowa-

nie przydatna. Pozytywne zmiany widoczne są również w stale zwiększającej się aktywności studentów w czasie ćwiczeń i seminariów. W prowadzonych dyskusjach na czoło wysuwa się chęć zrozumienia otaczających zjawisk społeczno-ekonomicznych i politycznych, a ich krytyczna analiza i ocena jest wyrazem troski o dalszy dynamiczny rozwój Polski. Postawy totalnej negacji otaczającej rzeczywistości, charakterystyczne w dyskusjach końca lat sześćdziesiątych, należą dziś do rzadkości i wśród młodzieży studenckiej nie znajdują ani zrozumienia, ani aplauzu. Powyższe spostrzeżenia są oparte o doświadczenia pracy dydak-

A więc jestem z nią jeszcze, ale już o niej nie myślę.  
A więc leżę z nią w łóżku. Na parapecie okna, na wyciągniętej ręce gra radio. Leżę i patrzę w sufit. Pomalowany na biało, drewniany sufit.  
— O czym myślisz — mówi ona.  
— Myślę o tobie — mówię ja, bo tak mi się jakoś z przyzwyczajenia powiedziało. A może i dlatego, że jeszcze za wcześnie, żebym powiedział, że już o niej nie myślę. A może dla-

kamieniami jezdni płynęła woda i było ciemno. Podobało mi się, że ma taką silną dłoń. Podobało mi się, że mówi o sobie i, że ma białe równe zęby.  
Dziewczyna stawia na stole szklanki z herbatą, smaruje bułki.  
— Tak, to było piękne — mówi dziewczyna.  
— Mhm — mówię i czuję ulgę, że nie wymaga ode mnie niczego więcej. Zadnego potwierdzenia.  
Później jem śniadanie i już nie muszę nic mówić.

II

Idziemy wąwozem. Jest gorąco, ale tutaj, między żółte ściany lessowej drogi dociera tylko światło u wylotu.  
— Posłuchaj — mówi dziewczyna i staje pod wrośniętą w wąwoz lipą.  
— Brzęczy — mówię. I jeszcze stojmy i słuchamy wszystkich pszczoł tego lata.

III

Kończy się wąwóz i wychodzimy w przestrzeń słońca. Przy drodze jakaś chałupa. Drewniane ściany z odpadającą niebieską farbą. Na drzwiach klódka. Pusto.  
Studnia obok chałupy jest głęboka. Dziewczyna krzyczy do studni moje imię. Bardzo dużo słońca. Może przez to słońce, a może przez te chałupy ze strzechą i głęboką studnią nie chce psuć sceny. Patrzę w studnię i teraz ja mówię w wodę jej imię. Potem spuszcza wiadro by nabrać wody.  
Szczęgóły — stalowa linka odkręca się z brązowego, wyszlifowanego kołowrotu. Korba szerniała od deszczu. Brzegi kregów zarosnięte mchem. Patrzę na to i wiem, że będę pamiętał te niepotrzebne szczęgóły. Tysiąc takich studni i wszędzie to samo. Ale ta zostanie. Może przez to słońce? Bardzo dużo słońca.

IV

Siedzimy na rynku. Dziewczyna trzyma torbę z czeresniąmi. Jemy czeresnie. Przechodzą inne dziewczyny. Patrzę za nimi. Odwracam się za jej plecami.  
— Ale ty jesteś — mówi dziewczyna.  
— Jaki? — mówię i wiem dobrze jaki naprawdę jestem. Ale to było jeszcze nim zacząłem patrzeć w sufit.

V

Pada deszcz. Siedzę na łóżku i patrzę na bohomaż na ścianie. Rycerz z krzywą gębą za chwilę wjedzie do rzeki. Zachód słońca. Za rzeką warowny gródek.  
— Przyjedziesz do mnie — mówi dziewczyna.  
— Przyjadę — mówię i myślę, że więcej jej nie zobaczę.  
— Na pewno przyjedziesz?  
— Postaram się — i wiem, że to jest odpowiedź. Bo przecież zawsze mogę się nie postarać. — Nie mogłem się postarać — powiem jej przy jakimś przypadkowym spotkaniu.  
Pada deszcz. Będzie pamiętał tego rycerza z krzywą gębą, zachód słońca i warowny gródek. Może przez ten deszcz? Bardzo dużo deszczu.

(Wchodzi aktor. Podchodzi do publiczności. Błąka się między ludźmi).

— Sprzedaję... sprzedaję mój świat z plastyku, metalu i luster. Okruszony dzieciństwa. Może kupicie to radio. To cholerne radio! Dostałem je od wujka na urodziny. Potem zawsze w tym radiu słyszałem wujka i kwiaty... słyszałem jak się rozwija. I wienią. — Może kupicie. Ono umie latać. Zawsze latało zimą po pokoju, a w lecie po ogrodzie. Nie wierzycie? Naprawdę, to radio lata. Lata tylko dla mnie. Miałem kiedyś psa. Zamknąłem go na noc w słoiku i pies zdechł. To był bardzo ładny pies, ale miał za mało przyjaciół. Byliśmy podobni, pewnie dlatego ja też nie mam przyjaciół. Nawet w domu ich nie miałem. To był bardzo mały dom. Zbudowałem go z kart. Dlatego też, gdy ktoś krzyknął — domek przewracał się. Wszyscy w domu chodzili na palcach i mówili szeptem. (pauza) Mój ojciec miał 42 lata, gdy umarł na raka... wyobraźni. Przeżył jedną wojnę, dwa obozy koncentracyjne. Kiedy się skończyła wojna często chodził do kina. Kupował bilet, taki zielony, oglądał film i wracał do domu, gdzie panowała historyczna cisza. Ojciec nigdy mi nie opowiadał o wojnie. Nie potrafił. Siedział na fotelu i czytał gazety. Tylko gazety. Przeglądał nekrologi, tak, nekrologi. Retrospekteje błąkali się wokół każdej jego myśli: strzał w brzuch, genitalia, mózg, który potem bardzo śmierdział. Płuł, wymiotował wojną i płucem. Osiem lat temu, rankiem dokonał samookaleczenia, a potem założył ciemne okulary... do dzisiaj nie może ich zdjąć. Wciąż są czarne. Już nie czyta gazet i nie chodzi do kina. Tylko słucha radia. Jego cholernego radia. Więc chcę je sprzedać komuś i nie słuchać jak wienią kwiaty. Ojciec lubi jak mu czytają wiersze. Dlatego często chodzę po śmietnikach i szukam poezji. Tej, która umiera. Razem z moją matką. (pauza) Może to się wyda komuś dziwne, ale miałem jednego przyjaciela. Był idealistą. Zawsze gdy przychodziłem do niego siedział przy biurku. Walaty się tutaj wraki książek. Przybiły do swojej ostatniej przystani. On nigdy nie wyrzucił książki. Siedział. Czytał. Obok stała nieruszona, zimna szklanka kawy. Potem długo rozmawialiśmy. Wyśmiewałem jego świat. To świat dziecka. Każdy poeta jest dzieckiem.  
— Kiedyś szliśmy leśną drogą, a może to była ulica. Jacyś faceti zabili go bez powodu. Jeszcze zdążył krzyknąć, że ludzie są braćmi — już nie żył. Na szczęście to nie byli ludzie. Teraz to wiem na pewno. Przecież

wy być tego nie zrobili. Pomyślcie, żyjemy na tej pigmejowej planecie od setek tysięcy lat. Nie powinniście przechodzić bezmyślnie obok sąsiada, a jednak to czynicie. To nie, że gardzicie mną i setkami innych, ale to moja wina i tych lalek. Śmierzę, jak ten roztluczony mózg, a może zabawki gniją jak ludzkie zwłoki. (pauza) Jaka cisza. Czuję się, jakbym był w domu starców. Tam w ciszy

chłopaków. Uśmiechałem się do nich, lecz oni nigdy nie uśmiechnęli się do mnie. Znowu bym odwiedzał stare kobiety z mojej ulicy. Przychodziłem do nich zawsze, gdy miałem dosyć podwórka. Ich opowiadania sprawiały, że zaczynałem bać się ciemności, jako siły stałej, ponadczasowej... Siedziałem podniecony na podłodze z otwartymi ustami, starając się zatrzymać każde zdanie, uchwycając jako definicję, która ma przetrwać... Potem znowu wróciłem do ojca i jego gazet. Cóż, teraz jestem trochę starszy, czasami bardzo stary, a czasem jestem tym rozrabiakiem z małego światła mojej ulicy. A jednak... a jednak sprzedaję te lalki i lustra mojego dzieciństwa. Było ono dziwnie piękne, więc chcę z tym skończyć. Chciał podświadomie wciąż powracam do tego. (pauza) Chciałbym nauczyć się grać na skrzypcach. A potem nauczyłbym grać na nich swoje lalki. Wtedy lalki by udawały błękitne motyle i może wtedy by umarły. Lalki muszą chyba ładnie grać na skrzypcach, mają przecież takie delikatne rączki. Delikatne, jak dźwięk skrzypiec. Lecz ja już chyba nie zapanuję nad instrumentem, skoro nie umiem siebie samego poskromić i nastroić jak skrzypce. Życie niestety nie jest instrumentem, ani żadnym utworem, gdzie nutami mogą być tylko błękitne motyle, które są nieuchwytnie... Gdy temperuję olówek, ogarnia mnie dziwne uczucie. Mam wrażenie, że gdy już go naostrzę, gwałtownym ruchem przebiję się nim na wylot. — Czy ktoś by spostrzegł, że wyruszyłem w tę „podróż”? Peron. Wszyscy zegnają się, niektórzy płaczą. Czy widzieliście kiedyś, by kolejarz, dający znak odjazdu zaplał? Nie widzieliście... Dworzec tętni rozstaniem i świstem lokomotywu, tylko twarz kolejarza jest wciąż martwa. Postać ta przypomina mi czasem grabarza. Dziwne skojarzenie, prawda? Tak, ten świat zasypia... Wszystko zależy od tego, czy dziś jest mody śmiech, czy płacz, histeria, czy stoicyzm, dobroć, czy okrucieństwo. Wieczny jarmark. Coz częściej mylimy szpital dla umysłowo chorych z... piedestałem. Wśród dźwięków „IX Symfonii” stajemy się zlem... zbrodnią... i ironią... Milczycie wobec „wykolejca”, który szuka poezji w śmietniku. (pauza) Litość staje się śmieśnią... jak protekcja u Diogenesa... (pauza) Tylko śmierć jest nieśmiertelna... Wciąż trwa... Nadejście wieczoru... gdy z wysokości... stalowej konstrukcji wreszcie dojrzą Ciebie... w tłumie... błagających się... i krzykną: Dobranoc człowieku wieczny! Dobranoc wieczny poeto...  
Kurtyna

JAROSŁAW WARZECHA

BARDZO DUŻO DESZCZU

tęgo, że to jej się po prostu należy. Była przecież ze mną i miała tyle nadziei.  
Leżę więc i patrzę w sufit. Gra radio. Dziewczyna wstaje. Robi śniadanie.  
Patrzę w sufit i widzę twarz innej dziewczyny. Ona coś do mnie mówi. Pamiętam, ale już nie wiem co wtedy mówiła. Nie mogę sobie przypomnieć.  
— Co ci jest — mówi do mnie ta dziewczyna i wiem, że zaraz zaczniesz się domyślać.  
— Coś mi się przypomniało — mówię i wiem także, że popełniłem błąd. Zaniewolę ją. Wszedłem bez niej w jakieś moje wspomnienia, a przecież jeszcze z nią jestem.  
— Co? — mówi dziewczyna.  
— Przypomniał mi się nasz pierwszy spacer — i naprawdę przypomnia mi się nasz pierwszy spacer. Padał deszcz. Szliśmy pod jej małą parasolką i miałem mokre ramie. Między

strzelistego gotyku. Około pierwszej wracała, niosąc w sobie — niech będzie pochwalony — i to chwilę wejścia z zimnego korytarza do kuchni odpowiadającej im — na wielki wiek — uśmiechniętej kapuśniakiem i oberkiem Dzierżanowskiego z głosińką, nad którym panują poskledane w musztardowe landrynki.  
Właśnie dochodzą kartofle i Stefcia pedził im na pomoc z su-hym zmywakiem w dłoniach. Parują zadowolone, gdy odczeka je nad wiadrzem pograżonym w czelustkach umywalki. Dogląda też kapusty troskliwie mieszając ją, by się nie przypaliła, a w tym czasie Wincenty nakrywa w pokoju. Czerwienią się ze wstydu w wazonie sztuczne irysy, że na obrusie jest plama, ale może robią to z zazdrości, bo zastawiono je na toaletkę i nie będą mogły skryć z nim szeptać. W szafie, w dolnej szufladzie odpoczywają duże żyłki zawinięte w papier, obok nich — widelce i noże, ale niech no tylko Stefcia wydobędzie je z ukrycia, a zabysną przepychem przyczernionego srebra.  
Ulicy Małych Podwórek nie odwiedziło dzisiaj słońce, smutno więc trzykroć i kaktusom, smutno świętemu Józefowi, gdy tak patrzy na pochrapującego Wincentego w objęciach starego, obspanego naftalną kożucha i na Stefcię zahinnotyzowaną brudnymi chmurami za oknem. W misce cierpią nie pozmywane talerze, ale mleka pokornie, by nie obudzić drzmiącej za szafa ryżowej szczytki do podłogi. Przypasł też płomień w niecu — nie buzuje już tak jak przed obiadem, palza teraz leniwie, syty, liżąc jeszcze resztki węgla. W białych wiadrach usypia woda nuciąc cicho kołysankę stojącym wyżej na konewniku poobrzany filizankom. Mlynek do kawy oparł się korbką na ciężkim moździerzku i tak prowadzi dalej spór o to, kto lepszy. Łabędzie nad dębem zwiesiły głowy, wtopione w ciszę między wyliniałym linoleum a rozpiętym między palcami nami sufitem.  
W taki czas na ulicy Leniwego Dymu dojrzeła śmierć. Wszystko zasypia w ziewaniu niedzielnego popołudnia, u-

mięra powoli chyłak głowy coraz niżej i przelicykując resztki wspomnień tamtych dni.

To nie, że załoga Skylaba wodowała na Pacyfiku — na ulicy Zachłapanych Bortnic ciągle jest jeszcze przed wojną, trwa nadal era drewnianych trepów w

PAWEŁ TOMASZEWSKI  
Z DNIA NA DZIEŃ

(fragment)

ciemnej sieni i skrzypiących schodów. Tutaj wszystko chore jest na paraliż tamtego czasu, tutaj wszystko umiera — z dnia na dzień.

Nad Patokami zachodzi już słońce, żegna się z kępami olszyn i piaszczystą drogą, ustępując miejsca przedwioznej rosie — teraz ona obejmie panowanie nad zagonami żyta i tataraki.

Na kartofliku Wincenty walczy jeszcze z resztkami ognichy, prostuje pięć, bo właśnie za rowem stara Cieslakowa pedzi krowy. Żal mi pozostać się z koniczyną Orchowiskiego — taka słodka. Wie o tym Wincenty wyjmując z tyłki chleb z masłem. Kawa ostygła już dawno w flaszcze zrudzona oplotkami szeptem krzakami malin. Leżący obok brodaty kamień z zazdrością patrzy, jak zylasta dłoń Wincentego zespała się z grubą pajdą chleba, trwając tak chwilę w miłosnym uścisku, cięsząc się widokiem zadumanej na granicy damki.

Czas do domu! Posmutniała umorusana ziemia haczka — zostanie sama w brudzie do jutra, przeciera więc sobie grzbiet kromkami rosy, a Wincenty troskliwie otula ją trawą do snu, potem zmienia koszulę, spodnie i buty, gorsząc widokiem wpadniętego brzucha wzwierający z pszenicy kobyłak. Jeszcze tylko polne koniki nawołują się, by stanąć do turnieju z żabami znad drugiego rowu, gdy Wincenty, włożywszy marynarkę prowadzi rower do drogi.

— Ile to już wieczorów — myśli, zaczynając krecić powoli pedalami. Bola go ręce i plecy od schyłania, objął mu się o kołano zawieszona na kierownicy, pusta teczka.

Znają dobrze ten widok dzięki grusze za krzyżówką, pozdrawiają swego rówieśnika szumem liści. Zna go też stara, wyschnięta studnia, co to przychodzi do niej kiedyś krowy poić, i żywopłot naprzeciw sadu. Nie wzbierała sobie świata bez Wincentego, a i on, choć teraz miastowy, czuje się częścią tej morzi w Patokach, tego wieczoru nad polami i tej piaszczystej drogi, którą jeździł od tyłu, tyłu lat.

Wiosennym przedpołudniem dzieci pokrzykując za oknem grają w ganięnego. W kuchni Stefcia szykuje obiad, strużąc kartofle myśl o wiosennym słońcu i zielonej łące za tym drugim rowem, i o niebie opartym na oczach; uśmiecha się niezacznie, bo nawet

natarczywe uderzenia kilofa, i szum drzew i bulgotanie krupnika — są dziś takie radosne, takie lekkie i świeże. Stefcia przypomina sobie, że tymczasem w drugim domu na strychu jej córka leży naga na starym kożuchu, że oczy ma pełne oddania dla chłopca spoczywającego na niej, że czuje go całym ciałem, że ich usta złączone wśluchują się w jej ciępiętego pod uderzeniami bioder kożucha — otwiera powoli oczy. W dachu — szpara, przez którą widać kawałek nieba, jest właśnie błękitne i czyste; i tu styczny przytłumione głosy dzieci — powraca poranny obraz pierwszej zieleni: świeżej i delikatnej; otwiera oczy jeszcze szerzej — na strychu robi się coraz jaśniej, w szparze w dachu pojawiają się szyby przedzielone białą futryną, kożuch rozciąga się w miękkie obicie kozetki, a owalne oczy chłopca rozpylają się, oddalają i rosną, by znaleźć swe miejsce na ścianie — widać na nich twarze Jezusa i świętego Józefa. Usta białe jeszcze od pocałunków gorących, ale wstarczy odjąć łyżkę od warg, a ból zmieni się w smak niedosłego krupnika.

Stefcia siedzi na kozetce, wpatruje się marzycami, półprzytomnymi oczyma w ciemną czelustkę otwartych drzwi, gdzie właśnie pojawia się jej córka ze szkolną teczką w ręku. Twarz dziewczyny jest radosna, niżym dzisiaj powiew ciepłego wiatru w ogrodzie. Stefcia odkłada noż i niedostruganego kartofla, zrywa się i podchodzi do córki: uśmiech zmienia się najpierw w zdziwienie, potem w strach, wreszcie w jakiś głęboki żal, nie pozwalając łzom płynąć po gładkich dziewczęcych policzkach. Stefcia uderza jeszcze kilka razy. Teraz dopiero dziewczyna zaslanając głowę ucieka do korytarza, by tam na zakurzonym parapecie, patrzeć na dzieci grające w ganieganego wyplakac się wiosennemu słońcu.

Gdzieś z daleka słychać znow uderzenia kilofa. Stefcia podchodzi do pieca — czas poprawić już krupnik, bo niedługo przyjdzie jej mąż, Wincenty — starszy siwy pan w drucianych okularach.

# OBYCZAJE

Dalszy ciąg ze str. 1

wypadają kolejne imienniki polskie i już jest zgłoszenie o przybyciu grupy: na trzy pokoje czterosobowe, a przecież ani chyba zjawia się różni nie zapowiedziani „indywiduani” — bo to i dancing w „Zamku” i w ogóle nigdy nie wiadomo, czy komu jesiń nagle wiosną nie zakwili. A dokąd pojedzie? tego nawet pani w „it” na ulicy Piotrkowskiej w mieście Łodzi nie wie i nawet jest zdenerwowana, że ktoś taki namowny i zadaje takie pytania zamiat wybrać się do NRD z wycieczką, albo na wyspy Bahama.

I tak oto pokoje zaczynają się załudniać. Zapowiedzianych imienników dowodzi na raty fiata z rejestracją IW... i jedno już wiadomo na pewno — że drzwi do trzech pokoi czterosobowych na pierwszym piętrze nie będą otąd zamknięte systemem: dłoń — klamka — itd., a raczej puszczane wolno, z dość dużą siłą witalną, świadcząca o tym, że osoby są młode, zdrowe i że z kurami spać nie pójdą. No i rzeczywiście, nie poszły. Uruchoił natomiast magnetofon. Ale ponieważ grał równocześnie także i adapter, trudno było z początku się zorientować przy czym obchodzone są imienniki.

Stosunkowo lżejsze życie mieli ci na parterze zajęty w dużej części przez studentów, którzy ublagali kelnerkę o udostępnienie sali jadalnej, przynieśli sobie z bufetu 120 pów, kilka butelek pepsi i swoje nagrane taśmki, po czym rozsławszy stołki zrobili kółeczko jak do „chodźlis wokoło drogi” i bez żadnego tam jakiegos retro, czy oglądania się za siebie — mitali się każdy sobie do rytmu tak jak im nawijało. Czyli jak to się zwykło mówić: bawili się ładnie. W każdym razie to nie oni byli organizatorami nocy, w czasie której nikt oka nie zmrużył — o co ich na zapas, a i potem, ci co obgadali — pomawiali.

Według tabliczek wywieszonych na wprost wejścia na temat tego, co — obowiązuje gości hotelowych — noc należałoby zacząć liczyć od godziny 22. Ale nie przesadzajmy, w sobotę — nawet w telewizji o tej godzinie jeszcze spać nie chodzą. A tu przecież z góry wiadomo, że trzeba odzekać na tych co z dancingu, i że oni na paluszkach przecież wracac nie będą, a i szlagier pewno ostatni im jeszcze na ustach zostanie.

W hotelu po dwóch kracnach różnie grało, pokiwało i traskało, a około godziny dwudziestej trzeciej i coś tam — panienka z recepcji powiedziała: — Zaraz będą ścierać z „Zamku”. — i rzeczywiście zdążyła jeszcze tylko dodać: — O! — i zaczęła.

Drzwi do „Zbyszka” są: takie sobie, przeciętne, i przy wchodzeniu we trójkę występują trudności. A we trójkę niestety trzeba. Inaczej nie da rady. Po bokach dwaj młodzieńcy, a pomiędzy dzidzia złotowłosa. Nawet nie wiadomo czy ładna, bo główeczka zwiesiła się jak podcięta i tylko czupryny blond kupa cała zlewa się z puchatym kołnierzem koczucha. Bo dzidzia jest w koczuchu, jeden facet coś tam jeszcze na sobie ma, ale drugi — w koszulce jeno w kratkę czerwona, i nawet nie dopięta. W cywilu zatrudniony jest w Kolumnie Transportu Sanitarnego — więc wychodzi mu to teraz sprawnie, to znaczy taszczy dzidzie na pięterko po schodkach. Schodki wyszciocone są sznurkowym chodnikiem, ale za to nie do wszystkich stopni przymocowanym. A nożny dzidzi (granatowe pęczoszki i koturny) kiwiają się zupełnie bez sensu i przebiegają ponad niedoścignione obciążeniami schodami i tylko gdzieś spod włosów, z głębi koczucha wydobywa się cichy, zaosny jęk...

— Oicho, no cichutko — powiada przedstawiciel Kolumny Transportu Sanitarnego — zaraz cię poizomy.

— A teraz — mówi recepcjonistka — jeden zostanie, a jeden jeździe.

I jeden schodzi. Tłumaczy, że zostawił skórę na dancingu i dlatego taki właśnie... a do „Zamku” ma 400 metrów oszronioną aeją przez park. No, ale właśnie nie wie jak wyjść, żeby na nią trafić.

I tak powoli pokoje się kompletuja. Muzyka gra. Recepcjonistkom bez dysuru stale coś z recepcji potrzebne, a to tusz do rzes, a to znówu trochę soli. Przybiegają, chichoczą. Ta co ma dysur pali sportowce jeden za drugim i popija nerwosol.

Godzina 21. W okienku recepcji układa się głowa klezmera z dancingowej orkiestry. Prosi o ręcznik i mydło. Recepcjonistka warczy, że nie ma.

Godzina 21.10. Muzyka rżnie nawet jakby żwawiej. Na schodach piętra ukazują się pierwszy imiennik, który po powrocie z dancingu zdążył się już przebrać: jest w białych krótkich gaciach na szelkach, podkoszulku i cylindrze, na

nogach ma kamaszki na bosą nogę, a na szyi uwieszony gwizdek. Klatki schodowe w pawilonie hotelowym „Zbyszko” są dwie, tak że można biegać w kółko przez całe lewe skrzydło i to jest strasznie fajne. Na schodach ukazują się inne osoby w różnych innych zestawach gaci i podkoszułków. Najmniej wygodnie ma taki jeden w pietwach. Szczególnie na niedopiętym chodniku schodów i zawsze dobiega na zbiórki ostatni. Aha, no bo właśnie — ten gwizdek jest do gwizdania na zbiórki. Zwolowane są stale w innym końcu korytarza. Dzidzia blond — już się przespała. Rozrabia. Dziewczyny chętnie piszcza. Wszystkie. I te szesć z fiata i inne jakieś. Nawołują się przez pokoje, jakby się

godzina 1.10. Panienska z recepcji przydziela przybyłym do „Jagienki”. Złosiłwie zresztą. Wobec tego oni przychodzą do „Zbyszka” przez otwarte okno na parterze. Panienska urządziła awanturę temu co spał i sobie wietrzył.

Dochodzi godzina druga. Nareszcie na linii jest „siódemka”. Panienska się cieszy. Mówi:

— Tu recepcja... no... ja poproszę do mnie... już nie mogę... no... nie mogę... chodzą w gaciach... dobrze... to czekam...

— Zaraz tu będą — powiada teraz — no nareczcie... panie! — to do klezmera w okienku włożonego z zewnątrz — przesiań pan tu sterzeć milicja już jędzie!

— Ręcznik i...

# NOC W ZAMKU

po古巴 na grzybach. Muzyka rżnie. Nagrania raczej z tych rytmicznych. Przed okienkiem recepcji wciśnięty w fotel siedzi stary robotnik. Pracują tu gdzieś w okolicy i w „Zbyszku” mają bazę. Niedziele ma wolną, ale dom daleko. Przelamuje papierosy na półówki i pali w łufce. Usiadł sobie tu w hallu, gdzie tumult jest mimo wszystko mniej bezpośredni i jakoś różniej pośród oficjalnych wywieszek, zarządzeń i przy telefonie.

Panienska w recepcji teraz bez przerwy kręci korbką, a potem pyta w słuchawkę — czy tam (tam dokąd dzwoni) nie ma „siódemki”. „Siódemki” nigdzie jednak nie ma. A ona: nie ma już nerw.

W okienku — nadal leży wetknięty głowę — klezmer z orkiestry i nudzi o ten ręcznik i mydło.

— Panie, niech pan wrzeszcie idzie spać — mówi panienska z recepcji — bo nerw już nie mam...

— Przecież — powiada klezmer — chcę iść spać, tylko muszę się umyć. Potrzebny mi jest ręcznik i mydło.

— O Jezu no! co za ludzie — mówi panienska z recepcji i poprawia malunek oka. Używa błękitu modracekowego.



Reprodukcja obrazu Edwarda Muncha

— Przecież to jest hotel, w hotelu...

— Tu nie jest żaden hotel. Tylko dom wypoczynkowy. Tam pisze.

Pisze. Jest przypięte na siomlance: Nasz adres: „OSRODEK SPORTU I REKREACJI ZAMEK w Uniejowie”. I pisze: „Recepcja prowadzi sprzedaż folderów i widokówek”. I pisze: „DOM WYCIECZKOWY kat. III”. O ręcznikach nie ma.

— Niech się pan przestanie czeptać, dobrze — mówi panienska jak już skończyła z okiem — i idzie spać. Kłóra godzina!

Godzina jest pierwsza. Gwizdek i ogłoszenie zbiórki. Huk drzwiowy. Tupot. Pietwy zasuwają wielkimi susami przez całą długość korytarza. W tym momencie otwierają się drzwi, niefortunnie, tuż za nimi — i ktoś — wypadając z pokoju wdeptuje w kaczy przydziewek i Krzychu (bo było mu Krzychu, temu w pietwach) — leży. I wyje:

— O Jezuuuuuu... O Jezuuuuuu... — Krzychu! — Krzychu!

A ten: — O Jezuuuuuu... A na to z drugiego końca korytarza leca drzwki jak raka i wrzask:

— Dziędek! Dziędek! przyjechał! jest miasto Łódź!

Dziędek przywiózł jeszcze dwóch. Późno, bo późno, ale zawsze. Jest

— Zwiariuję... Na górę huk potężnie i nabiera dźwięków metalicznych. To od ustawionych wzdłuż korytarza blaszanych popielniczek. Zaczęło się zupełnie głupio: ktoś — pyta dziewczynę: co ona robi w ogóle, a ona na to: że studuje SGGW, więc ona na to, że to znaczy się co? więc wtedy jeden:

— No nie wiesz? ona będzie bykom rogi prostować!

Wtedy ona:

— Lepiej bykowi niż sobie!

A ten nagle wytrzęsiał. I jak się nie rzuci do którychś drzwi. — A one zamknięte z tamtej strony. No to wziął się do prostowania tych popielniczek. Korytarz wąski więc stale wpadały na ścianę.

Wjazd łazika na parking daje sygnał gwizdkowi. Towarzystwo jako tako upycha się w pokojach. Jedni wskakują do pustych łóżek. Ci z przeludnionych — dają dyla.

Dwaj funkcjonariusze wnoszą ze sobą powiew schludności. Są eleganccy i doskonale opanowani. Wolno przemierzają korytarze zaglądając tu i ówdzie. Najbardziej dziwi ich chyba ten w helmie i gaciach oddartych wielką lachą o milimetr

Zasadnicza i kategoryczna recepcjonistka nadal ochlionięta jest kombinacjami wokół nie sprzątania sprzątań, ale nie posiada żadnych wiadomości na temat, czy zanieczyszczenia pokoi odlegają, czy nie podlegają sankcjom karnym. Co innego zbity szyba, no i kłoz. To podlega. Tylko, że nie wiadomo, ile kosztuje. Nie mają aktualnego cennika. Nie ma też pod żadnym telefonem kierownika. Więc obie panny, ta z nocy i ta nowa decydują: że obciążą. Tylko, że wtedy okazuje się, że nie ma kogo. bo z braku czasu całe towarzysze nie miało kiedy dokonać formalności meldunkowych.

Właściciel fiata i gwizdka wścickły jest na panienskę w ogóle, że załatwiać chce służbowo i tłumaczy jej że: życie, nie polega na tym. A dzidzia blond jeszcze wścieklejsza, bo panienska ze sprzątańką nasłży ją akurat przy strażennym z tym od koszułki w czerwona kratkę. Panienska z recepcji poznała go od razu, chociaż tym razem tej koszułki też nie miał. Teraz dzidzia blond mruczy coś, że pracuje w szpitalu, niezadowolona, chociaż nikt jej przecież nie wypytuje w jakim. Pisze się, że ślusarz, kierowca, albo że pracuje gdzieś tam, w czymś tam nawet nie wiadomo co to jest, i jak gdyby przyszło się kierować tymi hieroglifami w książce meldunkowej — to obciążenie za szybę trzeba by wysłać do Egiptu.

A dla bufetowej to oni wszyscy i tak są studentci.

— O Matko Przenajświętsza — mówi teraz — co to się wyprawia. Przyślij tu, zesunęj stoliki i krzesła o pivo. Ten wysoki mówi: wódkę to już mam dosyć, cała noc tylko srałem i rzygałem, a co gdzie wszedłem to do prostytutki, majtki, tak mówi, to tylko fruwały... no coś takiego powiedzieć przy panienkach! Jak Boga kocham, to tylko w telewizji pokazać.

Na dole — zmieniło się o tyle, że klezmer poszedł z funkcjonariuszami na górę — i pewnie coś tam dostał, może akurat nie mydło, ale już nie zszedł. A panienska w recepcji kręci-

ła korbką, kręciła — ale „siódemki” już nigdzie nie znalazła, a ościennie miasteczka odmówiły. Same mają za małą obsadę: sobota.

Tak więc w głuszy zamkowego starodrzewu, odcięty od osady rzeką, związany z prawem bezużytecznym telefonem — Osrodek Sportu i Rekreacji — wibruje w posadach rozduszony siłą, tętniący i młodością! „Ja mam dwadzieścia lat, ty masz dwadzieścia lat...” a czasem niezupełnie...

Pośród numerów dowodów osobistych widnieje infantylny numer szkolnej legitymacji pewnej uczennicy z Aleksandrowa. Panienski recepcjonistki nigdy chyba nie przesadzały w namietności do szkoły, bo nawet nie mają stosunku do zagadnienia, czy aby legitymacja szkolna może być uznana za dowód meldunkowy w każdej sytuacji hotelowej.

Stary robotnik pali te swoje półoweczki w łufce i opowiada o córce. Jedną już jest nieuczelniką, a druga będzie, kończy matematykę na „Jagiellonce” i teraz on sobie myśli: jak też one sobie poradzą uczyć takie to... — i patrzy w rozdygotany sufit.

— „Oni” do mnie powiedzieli, że ja mam wyrozumieć, bo też był młody. A byłem. Tylko, że wtedy musiałem to wszystko wybudować. A oni obiecane dali Gierkowi, że wybudują drugą Polskę, Tylko, że może im do tego potrzeba, żeby ze wszystkich były najpierw gruzy...

„Oni” — puchną w końcu. Jest okolo czwartej. Alkohol już wypity. Szklko już wybite. Co nie wybite we wnętrzu — wyrwane przez okno. Puchną. Najtrudniejsze takie godziny przed świtem. Milknie magnetofon.

Panienska w recepcji układa się na kanapkę w kąciuku. U niej — o tej porze zbierają się do roboty. Gospodarska córka. W domu rodzice sami sobie radzą. Ona dojeżdża tu do pracy. Może jak by ojciec te pracę raz zobaczył, to by się po obejściu rozszalał, czy nie dojrzy, gdzie to zadział cepa.

Po dwóch godzinach wszystko zaczyna się od początku i jest niemal nudne. Potem — przychodzi sprzątańki i protestują przeciwko sprzątańki natrysków zamienionych na sławojkę. W ogóle protestują i siedzą w hallu. Jeszcze potem — zjawia się całkiem nowa panienska do recepcji. Ta jest zasadnicza i kategoryczna. Kategorycznie domaga się wysprzątania recepcji i zasadniczo jest zaangażowana w zagadnienie „czy sprzątańki” będą miały za niedziele zapłacone dodatkowo. One twierdzą, że nie i że przyszły z dobrej woli. Wygląda na to, że za pieniądze, bo siedzą w hallu i nie sprzątają. Siedzi też palacz, od samego rana pobierał z trawnika wszystkie skurpiny i schował w kotłowni but, teraz czeka, bo jest ciekaw, jaka jest ta co po niego przyjdzie. Mówi, że but jest porządny, gumowy, wysoki taki, z lewej nogi i że przyjdzie na pewno, bo jeszcze nie widział, żeby kto zimą lał boso. Wygląda na takiego co mógł już zobaczyć dużo, ale nigdy nie miał dość czasu, żeby się rozgadać. Nie przychodzi mu nawet do głowy, że fiatem — to można nie tylko bez buta z lewej nogi.

Zasadnicza i kategoryczna recepcjonistka nadal ochlionięta jest kombinacjami wokół nie sprzątania sprzątań, ale nie posiada żadnych wiadomości na temat, czy zanieczyszczenia pokoi odlegają, czy nie podlegają sankcjom karnym. Co innego zbity szyba, no i kłoz. To podlega. Tylko, że nie wiadomo, ile kosztuje. Nie mają aktualnego cennika. Nie ma też pod żadnym telefonem kierownika. Więc obie panny, ta z nocy i ta nowa decydują: że obciążą. Tylko, że wtedy okazuje się, że nie ma kogo. bo z braku czasu całe towarzysze nie miało kiedy dokonać formalności meldunkowych.

Właściciel fiata i gwizdka wścickły jest na panienskę w ogóle, że załatwiać chce służbowo i tłumaczy jej że: życie, nie polega na tym. A dzidzia blond jeszcze wścieklejsza, bo panienska ze sprzątańką nasłży ją akurat przy strażennym z tym od koszułki w czerwona kratkę. Panienska z recepcji poznała go od razu, chociaż tym razem tej koszułki też nie miał. Teraz dzidzia blond mruczy coś, że pracuje w szpitalu, niezadowolona, chociaż nikt jej przecież nie wypytuje w jakim. Pisze się, że ślusarz, kierowca, albo że pracuje gdzieś tam, w czymś tam nawet nie wiadomo co to jest, i jak gdyby przyszło się kierować tymi hieroglifami w książce meldunkowej — to obciążenie za szybę trzeba by wysłać do Egiptu.

A dla bufetowej to oni wszyscy i tak są studentci.

— O Matko Przenajświętsza — mówi teraz — co to się wyprawia. Przyślij tu, zesunęj stoliki i krzesła o pivo. Ten wysoki mówi: wódkę to już mam dosyć, cała noc tylko srałem i rzygałem, a co gdzie wszedłem to do prostytutki, majtki, tak mówi, to tylko fruwały... no coś takiego powiedzieć przy panienkach! Jak Boga kocham, to tylko w telewizji pokazać.

# MUSICAL

## PO PROSTU RETRO

Specjaliści i znawcy przedmiotu, czyli reżysjerzy stwierdzają, że retro jako takie, dzieli się na co najmniej trzy podkategorie. Retro głębokie — sięga do skarbca kulturowego okresu przedwojennego, retro średnie dotyczy lat czterdziestych a piątkie (czasowo) — lat pięćdziesiątych. Późno to podstawy tej mody leży u czynniki nostalgii, powrotu do „koncepcji kultury maksymalnie wygodnej, relaksowej”. Nie wiesz dziwnego, że na gruncie polskim kwitnie także retro głębokie. Próby sięgania do retra fizykiego, (już nie wspomnę o średnim), naroszone są na niepewnym płycim a „prezensem”, czy „futurum” są dość płynne. Szczególnie, jeśli chodzi o „prezesa”, bo w myśl pewnej koncepcji filozoficznej, czasu teraźniejszego nie ma. To znaczy jest, ale tak krótko, że nie uchwytne. Nie wiadomo kiedy jest to, co było miłoś, bo już było.

Zródła retra są różnorodne. Oczywiście, że względu na „powtarzalność”, należą do nich środki masowego przekazu. Pożesne miejsce zajmuje także teatr. Wyścary przeżyć reperciury. A i nawet taniec, swangarda w wielość przypadków, sięga po to, co, jak się dobrze przyręć, już było.

Głębokie i średnie retro widziałem w filmie „Wielki Gatsby”, powrotnie drugim i nudnym. Fizykie retro pamiętam, ale słabo i to z wysokości planu, który nanczasz starczy do obserwacji odczucia. Retro-musical Jacka Bonna — libretto i teksty piosenek i Piotra Hertla — muzyka pt. „Aferę pani Hanki”, oglądałem więc z konsultantem. Zawsze to bezpieczniej wiedzieć od razu co jest retro, a co nie.

No i podobno to tak rzeczywiście wtedy było. Takie rewie nie schodzą z afisza. Dziewczyny, panienki, i panie były pomoc tak infantylne (były), tak urokliwe, rozpięte i rozczarowane. Teści pawiła się gdzieś kobieta fatalna, to z oczu jej przebiegała drażliwość modliszkowa, głód, albo seksualny, albo polityczny, co i tak sprawdza się do jednego — niszczenia świata mężczyzny, który wtedy wchodził jeszcze swój styl — po prostu retro” i między rautem a party zajmowali się polityką.

Nie otrzymałem od konsultanta zdecydowanej odpowiedzi czy także z owego okresu pochodzi urządzenie techniczne nagłaśniające sięgające do górnego doświadczeń i stylowych tekstów piosenek, sędzię uroczu muzyka.

Do super — głębokiego retra (Średniowiecza) sięga rozwiązanie scenograficzno-techniczne, wykorzystujące „celowości” sceny Teatru 7.15, a także stosowanie napisów, świadcząco o obecności ducha Szekspira w tymże teatrze.

Są więc „Aferę pani Hanki” w pełni spektaklem retro. I, jako taki wymaga, jak sędzię, retrospekcji. Czyli nie akas wana w żadnym wypadku teorii znaków, a stosowania oem i określeń rodzem z tamtych lat. Szajawny ogólny cudzytel, adoptujący cyfaly (Boj).

A więc: „Rzeź zrobiona jest dopięcia i lekko nawet — w granicach męskiej wesołości kryminalna sirona histor. potrakowana jest „na niby”. Musical wystawiono bardzo starannie, uwzględniając właśnie jego podkład aktorski, komediowy. Elegancki świat zgrabnie reprezentowały panie. Największe podziw oddad można p. Barbarze Marzalek, która ślicznie zagrała rolę rozpieszczonej, infantylnej kobietki — Hanki. Była prosta, szczerą a pełną tajemnic — jak dusza młodego dziewczęcia. Przemia, rozbawiona, pełna młodego wdzięku i zgrabna, w swoich toaletach cieszyła nasze oczy i zmysły. Miała cnotę powodującą do nielednego występku. (Głowie daję za autentyzm cytatów — tak wtedy pisało). Sentymen-talnym dzwoneczkiem swojego głosu przy-pominała nam, że istnieje świat idealny, gdybyśmy pod wpływem tańca p. Ewy Mirowskiej — Betty Normann — o tym zapomnieli. Pani Mirowska swoim zachwałym temperamentem podmalowała rolę Betty. Parę akcentów, parę spoj-rzeń, jakie miała, nasyczo, nie akas rozdana i nismal bezosobową teatralną, zabarwioną niepokojącą głębią „jednakowo” z humorem i werwą zagrała „kobietę szpiega”. Wyglądała, śpiewała i tańczyła uroczu.

Mężczyźni byli również na wysokości zadania. Męskie typy przyrzadzili z powodzeniem p.p. Andrzej Herder — wspinał się również w andrzej tańcach. Stanisław Kwaśniak — pięknie wykonujący piosenki, Jerzy Przybylski — jak zawsze pełen humoru, Jan Tesarz — z satysfakcją odstający od norm salonu.

Wszyscy wnosili się w sferę wysokiego komizmu. Komplement należy także powiedzieć bezmiernym wykonawcom z kurtyny, którzy w trudnym dziele wielu zmian wykazali dużo talentu. Nie sposób rozbiierać po szczególe obfitego i fiska; każdy spełnił swój obowiązek, nawet publiczność, która wypełniła teatr, słuchała ciepło i dziękowała za ten interesujący pokaz długorwałym brawem!”

Koniec cytatów. Istotnie trudno wymienić wszystkich, bo np. w roli rozczarowanych „boys and girls” wystąpiła anonimowo studentka PWSFTwT i T w Łodzi. Pełna życia, błyskotliwe układy choreograficzne w opracowaniu Barbary Fljewskiej, wykonują z wdziękiem, poświęceniem i starannością.

Szukając wżerzysewał Jerzy Ukiela. Zgodnie z terminami retro można by napisać „zgrabnie wyreżyserował”, gdyby nie dość widoczny bład podwójnego zakomunikowania widocznej treści listu na początku spektaklu. Duże brawa natomiast za starożytny uszyje według projektu reżysera.

Wystawienie rewii, oprócz walorów rozrywkowych, sygnalizuje problem „zysku warsztatowy”. Otóż dwie różniowane sceny Teatru Jaracza (pomijam scenę Mała, przynależną w układzie zadań do dużej), powodują różne w stosunku do aktorów wymagania. O wszechstronności aktorów świadczyć nie tylko role dramatyczne, ale i te przynależne do form musicalowych. Kto wie, czy nawet te musicalowe role nie dokumentują wyraźnie różnego warsztatu, różnorodnych możliwości artysty (np. film „Kabaret”), wymagań, jakie stawia przed nim współczesny teatr profesjonalny. Sądzę również, że retro-musical przypominał raz jeszcze o takiej wszechstronności ogromnej wielkości zespołu aktorskiego Teatru Jaracza.

PIOTR SŁOWIKOWSKI

„Aferę pani Hanki” — musical na motywach Pamiełska pani Hanki”. — Teatru Dolegi — Mostowicza. Libretto — Jacka Bonna, muzyka — Piotr Hertel, reżyseria i scenografia — Jerzy Ukiela. Teatr 7.15 — Łódź, prem. 7. XII. 1975 r.

TAMARA ROSZAK

## POLEMIKI-LISTY

### NAUKA I CHLEB POWSZEJNI

Nie ma nic przyjemniejszego dla piszącego, jak listy od Czytelników. Nie ma nic przyjemniejszego dla felietonisty, jak listy Czytelników podejmujące polemikę. Dlatego z ogromnym zainteresowaniem przeczytałem list dr Jarosława Sosnowskiego, który w Instytucie Obrótu Towarowego Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego Uniwersytetu Łódzkiego (och, te nasze współczesne nazwy, które mają nieodpartą tendencję do wydłużania się niemal w nieskończoność) prowadzi temat badań o jakimś miłym nieostrożności wyrazić się krytycznie w felietonie pt. „ROZTERKA”, opublikowanym w 50 numerze „Odgłosów” z 1975 roku.

Oto treść tego listu:

Czuję się w obowiązku ustosunkować się do artykułu Marcina Rodaka pt. „Rozterka” zamieszczonego w „Odgłosach” nr 50 z 11.XII.1975 r. W artykule ten autor kwestionuje celowość badań naukowych dotyczących poprawy zaprzęgnięcia mieszkańców miasta Łodzi w pieczywo. Być może dla M. Rodaka badanie opinii społeczeństwa jest sprawą błażą. W produkcji oraz handlu jest wiele zagadnień wymagających ciągłego udoskonalania i usprawniania. Sprawa pieczywa wydaje się być nie mniej istotna dla ogółu ludności aniżeli np. problem motoryzacji indywidualnej dotyczący pewnej grupy osób.

Uczelność i etyka zawodowa wymagają sprawdzenia lub zapoznania się z faktami, o których się pisze. M. Rodak, nie znając celu badania, zakresu i stosowanych metod badawczych (w tym także wywiadów z kierownikami sklepów, o które upomina się autor artykułu), pisze w ironiczny sposób o tym badaniu. Opiera się bowiem tylko na lakonicznej informacji z „Głosu Robotniczego” z 13.XI.1975 r. zamieszczonej bez naszej wiedzy. Jeśli już jednak M. Rodak zdecydował się na takie źródło, to dobrze byłoby, by nie mylił problematyki badań prowadzonych przez „ekonomistów z UL” (cit. - M. Rodak - nie rozumiemy tego cudzysłowia?), z pracą magisterską studenta Politechniki Łódzkiej pisaną na temat „polepszenia jakości bułeczek” (op. cit.).

Widzieliśmy chętnie M. Rodaka w Instytucie, stwarzając mu możliwość zapoznania się z tematyką prac badawczych, realizowanych celem poprawy działalności handlu i usług w naszym mieście, na wyrażenie potrzeby praktyki gospodarczej, a więc „życia codziennego” (op. cit.), a nie „wydumanego” (op. cit.).

Tak nieodpowiedzialny artykuł zniechęca społeczeństwo do udzielania informacji w badaniu ich opinii. Nie wiem, czy ktoś poza M. Rodakiem, kwestionuje celowość i przydatność badań opinii ludności (dla praktyki i polityki) nie tylko gospodarczej. Aby M. Rodak mógł lepiej zorientować się w poruszanej przez siebie kwestii, przesyłamy wzór ankiety rozesłanej do mieszkańców Łodzi.

Jednocześnie pragniemy zaznaczyć, że otrzymaliśmy ośdeść wypowiedzi respondentów zdecydowanie przekraczających przeciętny zwrot ankiety przy tej technice badań, co świadczy o dużym zainteresowaniu społeczeństwa. W przekonaniu tym utrzymujemy nas ponadto dodatkowo wypowiedzi w ankietach oraz listy przysłane do Instytutu. Na szczęście więc artykuł z „Odgłosów” z

11.XII.1975 r. nie zdążył wyrazić skądś badania, ale innym...?

Dr JAROSŁAW SOSNOWSKI  
(Kierownik tematu badawczego)

Odpowiedź moją pozwolę sobie ująć w punktach.

1. Chciałbym przede wszystkim zwrócić uwagę, że „Rozterka” była felietonem, co w przeciwieństwie do artykułu publicystycznego daje autorowi prawo do dzielenia się z Czytelnikami subiektywnymi refleksjami, nie zmuszając jednocześnie Czytelnika do podzielenia poglądów felietonisty. Felieton daje też prawo do żartobliwego i ironicznego traktowania spraw nawet poważnych.

2. Cudzyśłów przy „ekonomistach z UL” wynikał tylko z tego, że określenie to za pomocą „od (m.m.) z „Głosu Robotniczego”. Nie poza tym. Autor notatki w „Głosie Robotniczym” dostrzegł bowiem w tej całej historii ciekawą informację, nie dostrzegł problemu. Ma do tego prawo, jak i ja mam prawo widzieć tę sprawę inaczej.

3. Byłbym wielce zobowiązany, gdyby dr Jarosław Sosnowski zechciał mnie przekonać, że istotnie ludzie nauki nie mają obecnie większych zmartwień niż zajmowanie się badaniem opinii publicznej na temat sprzedawania bułeczek. Niestety, dr Jarosław Sosnowski, poza kilkoma insynuacjami na temat mojej uczciwości i etyki zawodowej rze był uprzejmy posłużyć się argumentami, które mogłyby przekonać mnie i zapewne Czytelników o potrzebie zajmowania się handlem bułeczkami.

Nie neguję potrzeby współdziałania nauki z praktyką. Taką negacją byłaby głupota. Uważam jednak, że w systemie funkcjonowania socjalistycznego handlu w Polsce występuje kilka kluczowych problemów, którymi należałoby się zająć w pierwszej kolejności. System sprzedaży chleba i bułek - jak na razie - wymaga przede wszystkim większej operatywności ze strony kierowników sklepów. Być może już niedługo nadejdzie taki czas, że system sprzedaży pieczywa będzie wymagał ingerencji nauki, gdyż handlowcy wyzerpią wszystkie możliwości, jakie do tej pory stworzyła praktyka na świecie i jakie zostały z powodzeniem zastosowane w naszym handlu. W tej chwili takie szczęście nam nie grozi.

Takie jest moje zdanie. Być może myśle się, ale chciałbym o tym zostać przekonany przy pomocy argumentów, a nie tylko stwierdzeniem, że „nie znając celu badania, zakresu i stosowanych metod badawczych (...) pisze w sposób ironiczny”.

4. Z radością dowiaduję się, że ankieta Instytutu Obrótu Towarowego... (cały tytuł nie przytaczam) spotkała się z dużym zainteresowaniem społeczeństwa. I przyznam, że nie stanowi to dla mnie zaskoczenia ani odkrycia. Wystarczy kułować codziennie pieczywo, aby wiedzieć, dlaczego. I powinno o tym wiedzieć każdy kierownik sklepu, bez angażowania w to czasu pracowników nauki, których czas - jak już wspominałem - można byłoby wykorzystać - w moim przekonaniu - w bardziej użyteczny sposób. Dr Jarosław Sosnowski sugeruje, że obrotom zaszkodził badaniu opinii publicznej. Przeciwnie.

MARCIN RODAK

### „TEATR FAKTU”

W 44 (334) numerze „Odgłosów” ukazała się publikacja „Teatr fakt?” Jej autorzy oskarżyli Radę Uczelnianą SZSP i Sekretarza Komitetu Uczelnianego PZPR UL o bezprawne odsunięcie od władzy w ST „Pstrąg” podpisanych pod wezwozami w skład tej publikacji listem mgr Antoniego Bańkowskiego, mgr Jerzego Dyszkiewicza mgr Jacka Wesołka i Krzysztofa Ruikowskiego.

Deformacje faktów, jakich dokonano w tej publikacji, są zbyt liczne by się nimi

wszystkimi szczegółowo zajmować. Odsunięcie od sprawowania funkcji kierownictwa wbrew oświadczeniu zamieszczonemu w „Odgłosach” nie było wybrane na ogólnym zebraniu. Usurpacji nie dostrzegła w porę Rada Uczelniana SZSP UL, co nie byłoby nieszczerze, gdyby teatr funkcjonował zadowolającą a kierownictwo działało dla jego dobra. Błąd należałoby oczywiście naprawić, lecz zapewne w inny sposób. Tymczasem działalność kierownictwa budziła coraz więcej zastrzeżeń. Jego propozycja programowa została negatywnie oceniona m.in. w recenzji Tomasza Söldenhoffa „Jazna jałowa” zamieszczonej w przedwakacyjnym numerze „Odgłosów”. Dobrze wyposażona przez dawny zespół sala „Pstraga” była zamieniana i niszczała. Przechodzący do teatru młodzi członkowie szybko zmierzali się do pracy, toteż zespół był niezbyt liczny (samo było

kierownictwo nie potrafiło dokładnie określić liczby członków).

ST „Pstrąg” jest teatrem Uniwersytetu Łódzkiego. Zainteresowane jego działalnością było wcześniej całe miasto, stąd oczywiście jest także zainteresowanie „Odgłosów”. Odpowiedzialny za jego działalność jest jednak Uniwersytet Łódzki, a bezpośrednio RU SZSP, bo „Pstrąg” jest agendą kulturalną uczelnianej organizacji. Decyzja podjęta przez Radę Uczelnianą miała spowodować pozytywne zmiany. Takie zmiany już się „Pstrąg” dokonały. Będzie wiele okazji, by także poprzez prasę informować rodzimą o sukcesach „Pstraga”.

Podpisani pod listem dopuścili się kilku nieprzyjemnych insynuacji wobec przedstawicieli RU SZSP, sekretarza KU PZPR i nowej kierowniczki ST „Pstrąg” (stosowanie przemocy, zastraszanie, szantaż itp.). Zarzuty są bezpodstawne i absurdalne. Tego rodzaju insynuacje są niedopuszczalne nawet w polemikach. Nasi przedstawiciele i przedstawiciele instancji partyjnej działali w imieniu tych organizacji, a tym samym społeczności uniwersyteckiej dla jej dobra.

ZA PREZYDIUM RU SZSP UL  
MAREK KRÓL  
(Przewodniczący Rady Uczelnianej SZSP UL)

## TEATR

W roku 1935 w Teatrze Ateneum Stefan Jaracz powrócił do roli Szeli w reżyserowanym przez Stanisława Perzanowską spektaklu „Turonia”. Przypomnijmy, że była to dziesiąta rocznica śmierci Stefana Żeromskiego.

Krytyka ówczesna zastanawiała się, skąd ten pomysł, aby właśnie powracać do „Turonia”. Odpowiedź nasuwała się sama; Stefan Jaracz i jego wielka, pamiętna rola Jakuba Szeli na scenie Teatru Reduta w 1923 roku. A Bohdan Korzeniewski z całym namysłkiem podkreślał: „w obecnym stadium ewolucji aktorskiej Jaracza bliższa jest mu niewątpliwie rola Szeli niż Smugonia”.

Zadając sobie pytanie o motywy decyzji repertuarowych i udzielając jednocześnie odpowiedzi, krytyka ówczesna bardzo silnie podkreślała uwarunkowania historyczne dramatu Stefana Żeromskiego. Cytowany już Bohdan Korzeniewski zarzuca Żeromskiemu zubożenie Szeli. W oczach pisarza jest on tylko krwawym i okrutnym zbrodniarzem, wcieleniem „spuszczonym z łańcuchów ładu społecznego zwierzęcości”. Równie uboga jest warstwa dramatyczna.

Bohdan Korzeniewski pisał: „Wypadki rozwijają się w jakąś romantyczną awanturę, niewiarygodnie sztuczną i „teatralną” w złym znaczeniu słowa. Kolorowe przebranki za turonia wprowadzają do dworu powstańców i pozwalają uciec kołchankom. Zdarty z palca zamordowanego Cedry sygnet umożliwia ofiarę Ksawusiu. Niezmyślnie w tragedii pseudoklasykznej wniosła kochanka poświęca się dla wybrańca. Jak w melodramacie syn mordercy rozmiłuje się od pierwszego wejrzenia w órcie zamordowanego. Ponadto - ale i tego wystarczy, aby obredzić sztukę z tragicznej powagi (...). Temu nie może zarządzić żaden teatr”.

Tadeusz Boy-Zeleński wnikliwie rozprawiał się z poglądami Stefana Żeromskiego na „rabację” 1846 roku. Autor „Turonia” ustawił po jednej stronie Szelę, postać historyczną, ze wszystkimi okrucieństwami owej epoki, a z drugiej umiłowano siebie postaci z „Popiołów”, najbardziej wyidealizowani przedstawiciele szlachty - ironizował Boy - „tak jakby te właśnie postacie wcieliły ducha szlacheckiego ogółu, jak gdyby, w najlepszym razie, nie były wśród niego znikomym i bezsilnym wyjątkiem; jak gdyby ci demokraci układający we Francji plany szalonego powstania, mieli w jakiegokolwiek mierze prawo liczyć na ufnosć i współdziałanie”.

Owo dumne „je suis gentilhomme” - to już nie tylko kult szlachectwa, ale pańskości. „Dziwne odkrycie robiny w piarszu, który uchodził i uchodził za pisarza niemal proletariackiego - pisał Tadeusz Boy-Zeleński. To są paradoksy naszego życia i naszej literatury, które czynią nasz kraj tak trudnym do zrozumienia dla cudzoziemców”.

Dwa różne stanowiska, ale zbieżne oceny. Bohdan Korzeniewski stawiał teatrowi ówczesnemu wysokie wymagania i wznosił cele:

„Teatry nie ukazywały świata ani w jego tragicznej grozie, ani w pokracznej mieszłości. Niezdolne były zatem ponieść tej części odpowiedzialności za losy ludzkie, jaka przypada na sztukę”. Natomiast Tadeusz Boy-Zeleński widział wartościującą siłę w dramaturgii, w jej problematyce społecznej.

Nie można dzisiaj nie zgodzić się z opinią zarówno Bohdana Korzeniewskiego, jak i Tadeusza Boya-Zeleńskiego, którzy widzieli w postawie Stefana Żeromskiego, autora „Turonia”, przede wszystkim afirmację szlacheckiej rzeczywistości i dziejów Polski przedstawionych przez szlacheckich historyków. Dzisiaj znowu „Turonia” pojawia się na scenach teatrów w Polsce, ba, przygotowuje

go także teatr polskiej telewizji. Wobec tego nasuwa się pytanie, co skłania twórców do powrotu do S. Żeromskiego i „Turonia”.

Odpowiedź nie wydaje się prosta. Trudno znaleźć jej jednoznaczne sformułowanie. Wydaje się jednak, że oprócz powodów czysto rocznicowych (w listopadzie minęła 50 rocznica śmierci Stefana Żeromskiego) o zainteresowaniu „Turoniem” decyduje tradycja teatralna i jaraczowska kreacja, a także próba polemiki z postawą autora. Ta druga przyczyna, najbardziej interesująca, kształtuje interpretację postaci Jana Chudego, który ma stać się anty-Szelą, zaprzeczeniem jego nieludzkiej, mechanistycznej siły. Taką próbę podjął także Roman Kłosowski reżyser „Turonia” w Teatrze Powszechnym w Łodzi. Za-

poza nią twórca wyjść nie może.

Niemniej założenie reżyserskie, choć nie zrealizowane do końca, posiada swoje konsekwencje. Polegają one na interpretacji pozostałych postaci, które są tylko pionami w rękach Szeli i Chudego. Zwłaszcza podkreślić trzeba marionetkowość Huberta Olbromskiego (Bronisław Wrocławski), Weroniki Cedro (Barbara Szcześniak) i nade wszystko Xawerę Cedro (Marek Niemirowski), którzy świadomie współdziałali z założeniami Romana Kłosowskiego i zadaniami realizowanymi przez Włodzimierza Saara i Zygmunta Malanowicza. Współdziałanie to objawiało się przede wszystkim w warstwie zdarzeniowej, a w wypadku Marka Niemirowskiego również w gestyko-mimicznej.

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

## OD „TURONIA” SIĘ ZACZYNA(?)

łoże to już w swoim zamysłu wydaje się być ciekawe, albowiem pokazuje ruch chłopski z 1846 roku nie tylko na obraz i podobieństwo burżuazyjnej historiografii, ale usiłuje odwołać się do świadomości historycznej współczesnego widza, do oceny powstania dokonanej przez Karola Marksa i współczesnej historiologii polskiej.

Czy jednak materiał dramaturgiczny jest na tyle wystarczający, aby założenie reżyserskie mogło być przez aktorów zrealizowane? Odpowiedź niestety jest negatywna. Włodzimierz Saar pokazał Jakuba Szelę jako „mityka i sekciarza w siermiędze” wypełniającego „ze słowami Pisma św. na ustach” swoje postannictwo. Osiągnięto to bardzo oszczędnymi środkami, aktywizując przede wszystkim rubasność naturalną. Inaczej Zygmunta Malanowicz (Jan Chudy) - spokojny, roztropny, wyczekujący. Nasuwa się porównanie z Janem Andrusikiewiczem, przywódcą chochołowskich górall, którzy stanęli do powstania w walce z Austriakami. Jan Chudy Zygmunta Malanowicza, aczkolwiek zdecydowana antynomia ideowa Jakuba Szeli, pozostaje w granicach drobnego sprzeniewierzenia. Od takiej interpretacji ostatecznej nikt i nie ocalił teatru i aktora nie jest w stanie, albowiem wartość dramaturgiczną i zdarzeniową „Turonia” jest realnie ograniczona

Zarówno Barbara Szcześniak jak i Marek Niemirowski mieli pewne kłopoty i z tekstem, i z poruszeniem się na scenie, po prostu ruch nie stanowił integralnej wartości z cała konstrukcją roli, ale można to przypisać brakowi doświadczenia. Wszakże jest to ich debiut i to debiut bardzo udany (!).

Jeśli mowa o współdziałaniu, to trudno tu mówić o scenografii, która w efekcie klóciła się z założeniami reżysera i aktorów. Być może założenie wstępne było zgodne z intencjami reżyserskimi ale pozostało ono raczej w zamysłu niż w realizacji.

Kiedy „Turonia” Romana Kłosowskiego nie został jeszcze poddany konfrontacji publicznej oczekiwano na premierę sztuki Stefana Żeromskiego, jako na wykładnik ideowo-artystyczny nowej dyrekcji Teatru Powszechnego. Czy oczekiwania te zostały spełnione? W pewnym sensie tak, albowiem zawiąza się dyscyplina artystyczna i odpowiedzialność całego zespołu za teatr.

Stefan Żeromski „Turonia”, reżyseria: Roman Kłosowski, scenografia: Wojciech Sieciński, premiera na scenie Teatru Powszechnego w Łodzi dnia 30 listopada 1975 r.

## PLASTYKA

Wspólnie wszystkim dyscyplinom plastycznym w okresie ostatnich kilkunastu lat dążenie do integracji, zacierania ścisłych granic i różnic między poszczególnymi dyscyplinami, w tkawce artystycznym przyniosło zwrot najbardziej zaskakujący. Eksperymenty i poszukiwania nowych środków wyrazu zmieniły przedmiot i zakres pojęcia tkawki artystycznej, doprowadziły do jej wyodrębnienia w samodzielną dyscyplinę plastyczną, której związek z tkawką tradycyjną - obiektem rzemiosła artystycznego - jest już bardzo odległy. Popularność tkawki artystycznej w Polsce oraz jego szybki rozwój w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych leżały u źródła inicjatywy Zarządu Okręgu Łódzkiego Związku Polskich Artystów Plastyków organizowania co trzy lata ogólnopolskich przeglądów twórczości tkawek.

Pierwsze Triennale odbyło się w Łodzi w roku 1972. W odróżnieniu od innych wystaw tkawek, wystawa Łódzka obok tkawki unikatowej prezentowała także tkawki przemysłowe projektowane przez artystów. Inicjatorzy i organizatorzy wystawy wyszli z założenia, że projektowanie tkawki przemysłowej jest twórczością artystyczną o znaczeniu

## TRIENNALE TKANINY

nie mniejszym niż tkawka unikatowa, wymaga takiego samego zaangażowania inwencji artysty, a ponadto tkawka przemysłowa, ze względu na jej liczną funkcję, dociera do najszerszych kręgów odbiorców mając tym samym istotny wpływ na kształtowanie gustów i wyrobienie smaku estetycznego społeczeństwa.

Nie przypadkiem idea tak pomyślnie wystawy powstała w środowisku łódzkich artystów.

Ze względu na tradycje włókiennicze Łodzi i regionu twórczość w zakresie tkawki jest szczególnie bliska łódzkim artystom. Łódź jako największy w Polsce ośrodek włókienniczy, miasto wielu fabryk i zakładów przemysłowych, skłania także znaczny procent projektantów. Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych w Łodzi jako jedyna w Polsce posiada Wydział Włókienniczy przygotowujący studentów zarówno do indywidualnej twórczości jak i do pracy

dla przemysłu w zakresie projektowania różnych rodzajów tkanin, dzianin i odzieży. W Łodzi środowisko artystów liczebnie jest jednym z największych w kraju, a związki tkawki unikatowej i przemysłowej, ich wzajemne zależności i powiązania szczególnie uchwytne.

Sukces Triennale krajowego z roku 1972 z jednej strony a z drugiej niepoślednia rola jaka przypadła artystom polskim w ukształtowaniu tkaniny dnia dzisiejszego skłoniły organizatorów do przekształcenia Triennale w imprezę międzynarodową. Do udziału w kolejnym II Triennale, a I międzynarodowym zaproszono artystów z kilkunastu krajów. Prace ich biorą udział w sekcji tkanin unikatowych, sekcja tkanin przemysłowych jeszcze tym razem zrealizowana była wyłącznie dla artystów polskich.

Dalszy ciąg na str. 10

## W NASTĘPNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW”

między innymi:

- Erich von Däniken „DALSZE LOSY KOSMONAUTÓW”,
  - Bohdan Felt „LATAJĄCE TALERZE: FIKCJA CZY RZECZYWISTOŚĆ” część druga,
  - Jerzy Wilmański „OKRUCHY LOSÓW - CIĄG DALSZY”,
  - Ryszard Binkowski „ON SIĘ TAKIM NA ŚWIAT NIE PROSIŁ”,
- oraz felietony, recenzje, listy do redakcji i wiele innych ciekawych pozycji.

STAŁE OTRZYMYWANIE „ODGŁOSÓW” MOŻE ZAPEWNIĆ TYLKO P R E N U M E R A T A I I



## FILM

### GDZIE PODZIAŁA SIĘ EDITH PIAF?

Choć kino uwielbia biograficzne opowieści, ten gatunek filmu należy do najbardziej wysidiwionych kart jego historii. W większości wypadków nie udają się owe opowieści o uczonych czy artystach, nawet wówczas, jeśli ich biografie zawierają w sobie bogate wątki romansowo-sensacyjne. Ilustracyjność i zewnętrzność obserwacji to grzechy główne filmu biograficznego. Wszelkie próby przenikania do psychologii prezentowanych postaci kończą się na ogół porażką. To, co możliwe w kreacjach bohaterów fikcyjnych, nie udaje się przy autentycznych. Trudno autorytatywnie twierdzić, czemu tak się dzieje. Może dzieło przetrasta twórcę?

Charakterystyczne jest i to, że spośród wszystkich filmów biograficznych największy ich procent odnosi się do ludzi muzyki. Widać kino ludzi się, że ze wszystkich procesów twórczych akt tworzenia dzieła muzycznego jest najbardziej uchwytne. Wiemy jednak z filmowych doświadczeń, że to nieprawda.

Krańców ostatnio po ekranach film poświęcony Edith Piaf to dzieło kuriozalne, nawet na tle nie najlepszych dotychczas kina biograficznego, jako że amocją jego realizatorów nie była nawet pełna biografia tej najwzniekszej artystki estrady naszych czasów, nie była nią tym bardziej próba zglebienia psychologii tej niezwykłej kobiety. Oglądamy więc twór żalony, żerujący na dość sensacyjnych wątkach prywatnego i artystycznego życia Edith Piaf. Można by bronić autorów argumentem, że kiczowatość scenariusza filmu „Piaf” jest wynikiem przeniesienia doń wprost życiorysu autentycznej, o którym opowieść immanentnie zawiera elementy melodramatu czy wręcz kiczu. No cóż, większość autentycznych życiorysów w swej zaskakującej powtarzalności losów i ich powikłań napiętnowana jest banalem, to właśnie sztuka transformując, działa na ów banal oczyszczająco.

Trudno powiedzieć, że dzieje życia i kariery Edith Piaf należą do tych życiorysów powtarzalnych, tym bardziej więc filmowy ich obraz musi mierzyć stereotypizacją sytuacji i zachowań w nim odzwierciedlonych. Film „Piaf” ukazuje pierwszy okres życia znakomitej piosenkarki, kończy go jej pierwszy wielki sukces — wykonanie piosenki „L'acordéoniste” w music-hallu „ABC” w 1935 roku. Tak więc to, co oglądamy w filmie to młodzieńcze lata życia Edith Giovanny Gassion, znaną później pod pseudonimem „Piaf — Wdółka”. Scenariusz filmu opiera o powieść „La mome Piaf”, siostry Edith, pani Simone Berthelet. Fragmenty tej powieści drukował swego czasu nieoceniony „Przekrój”, prowadząc nas nie tylko przez początki życia Piaf, ale potem także przez wszystkie etapy jej piosenkarskiej kariery i kolejnych wielkich romansów. Film zatrzymał się w pół drogi, czego zapewne przyczyną była cenzura towarzysko-obyczajowa, jako że nie żyjąca już Piaf można grać, trudno jednak zaprosić do udziału w filmie wielu znamiennych dziś i o wiele starszych współtwórczy życia wielkiej Edith.

Niby wszystko w porządku — dramatycznie rzecz się tłumaczy. Cóż jednak nam dano o Edith wiedzieć — że żyła na ulicy, że była prześladowana przez prostytutkę i oteżona opieką przez sutenera, że żyła z młodym robotnikiem i miała z nim dziecko, które umarło, że wiktowała się w dwuznaczne romanse, że była zamieszana w morderstwo swego pierwszego artystycznego opiekuna, i że wreszcie zrobiła karierę. Obrazki, obrazki, obrazki a la parisienne — Paryż podejrzanych dzielnic, zaułków i lokalików. W nim gromady prostytutki — homoseksualistów i sutenerów, a wśród nich Edith — dziecko ulicy o cudownym głosie. Film służy się po powierzchni stereotypowych dla takiego Paryża sytuacją i zdarzeń, nie się zewnętrzną rysunek postaci Edith Piaf, która w filmie tym istnieje głównie jako pretekst odwołania malowniczości i pikantności życia wspomnianego środowiska. Cóż z tego, że to prawda, że z tego środowiska wyszła. Wystarczy o tym wiedzieć, albo i to zbędne. Znaczenie ciekawskie dla wielu byłoby poznanie wewnętrzne światła Piaf wtedy i potem, gdy już ulicy bać się nie musiała. Dla innych ważne jest tylko to, co i jak śpiewała. Ale cóż, owego „jak” w filmie jest niewiele — dokładnie: jedynie wspomniana piosenka o „akordéoniste”, którą w filmie tym śpiewa sama Edith Piaf.

Nagrania jej piosenek z okresu ulicy i pierwszych występów w podejrzanych lokalikach nie zachowały się, choć sama Piaf wracała do nich w czasach swej wielkiej już kariery. Te nagrania, utrzymane już w innej konwencji nie mogły być wykorzystane w interpretacjach ulicznych, które obrazuje film. Wykonuje je więc w filmie o Edith Piaf śpiewaczka Betty Mars, która, zblaznieniem pamiętających Edith z lat młodości, dobrze oddaje styl i ślimbrze jej ówczesnego głosu. O słusności tej decyzji wyrokować nie bode, gdyż określiliśmy już swój stosunek wobec decyzji realizatorów tego filmu w ogóle. Doniesieniem mej dezaprobaty niech będzie informacja, że film „Piaf” posiadający swe dwie wersje językowe — francuska i angielska — w tej ostatniej przynosi słuchaczom interpretacje piosenek Piaf dokonane przez Betty Mars w języku angielskim. Widzom i słuchaczom tej wersji odebrano więc przynajmniej uczucie złudzenia, że w filmie „Piaf” śpiewają Piaf.

EWA NURCZYŃSKA

## ZDROWIE

Dokończenie ze str. 1

służby zdrowia. Instytucji sprawdzonej i rozpowszechnionej nie tylko na zachodzie Europy, lecz także w wielu innych krajach.

Przeniesienie tego wzoru do społecznej służby zdrowia oznaczałoby jednak rewolucję organizacyjną o rozmiarach nie notowanych od początków jej istnienia. Na przeszkodzie stoi bowiem cały gąszcz uświęconych wieloletnią tradycją przepisów i ograniczeń, przez które przebrnięcie jest nie zawsze możliwe. Jedyna zatem szansa tkwi w potraktowaniu całego przedsięwzięcia jako eksperymentu, który nie naruszyby za bardzo wnoszonej przez całe lata formalno-prawnej nadbudowy naszej służby zdrowia.

Szansa jest to jednak zawodna; eksperyment każdy ma to do siebie, że wymaga nie lada odwagi. Wszyscy bowiem czekają, patrząc eksperymentatorom na palce, aż się cała próba zaważy, o co zresztą niestudno, gdyż nowość czy nowinka ma z reguły więcej przeciwników, niż zwolenników. W przypadku zaś nowatorskich posunięć organizacyjnych sytuacja jest tym trudniejsza, że do ich wrogów zaliczają się przede wszystkim ci, którzy żalują, że sami na taki czy inny pomysł nie wpadli, czekają więc tylko, aż pomysłodawcom powinie się noga.

Próby „wyhodowania” idealnego lekarza były już podejmowane w kraju. Próbowała Warszawa — zaważyło się. Próbowała jeszcze bodaj Nysa i Łódźka — też jej nie wyszło. Powody były różne, choć final podobny: przeciwnicy odetchnęli z nieukrywana satysfakcją. Następna — a w kolejności ostatnia — próba postanowiła podjąć dyrekcja Zespołu Opieki Zdrowotnej na Widzewie. Próbę jednak bez porównania śmielszą od poprzednich. Jesienią zeszłego roku widzisk ZOZ — w porozumieniu z Robotniczą Spółdzielnią Mieszkaniową „Baweina” — postanowił stworzyć na terenie swojego działania pierwszą instytucję lekarza domowego czy też — jak ją tu nazwano — lekarza osiedlowego.

Lekarz ten — w koncepcji widzisk ZOZ — działał w małym osiedlu mieszkaniowym „Przybyszewskiego — Łęczycka”, gdzie „Baweina” oddała miasto w drugim półroczu 1975 roku trzy wysokościowce. W każdym z nich zamieszkała tysiąc osób. W sumie więc stworzą one kolejny duży rejon, który widziska ZOZ będzie musiał otoczyć odpowiednią opieką lekarską. Rzecz w tym jednak, że na nową przychodnię budowaną u zbiegu ulic: Przybyszewskiego i Tatrzalskiej, mieszkańcy osiedla musieliby czekać jeszcze z rok, a wypożyczony od Szpitala im. dr K. Jonschera, na tymczasową przychodnię budynek pęka już w przysłowiowych szwach: pacjentów z kolejnego dużego rejonu już raczej nie pomiesci.

W tej sytuacji RSM „Baweina” zobowiązała się przydzielić w jednym z trzech wieżowców mieszkanie o odpowiedniej strukturze, przeznaczono dla lekarza osiedlowego. W mieszkaniu tym miał być wydzielony gabinet lekarski i poczekalnia, siłą rzeczy mieszkańcem osiedla, czyli pacjentom osiedlowego lekarza.

Pomysł ten zainteresował nie tylko władze służby zdrowia, nie tylko pacjentów, lecz i lekarzy. Rychoło też zgłosił się do dyrekcji widzisk ZOZ pierwszy kandydat. Nazywa się ZENON STAŃCZYK. Jest lekarzem gminnego ośrodka zdrowia w Konopnicy — wsi położonej w odległości 70 kilometrów od Łodzi.

Wiosną 1975 roku — kiedy zdawało się, że od rozpoczęcia eksperymentu dziela nas zaledwie tygodnie — wybrałem się do Konopnicy. Zanim odwiedziłem dra Z. Stańczyka, zasięgnąłem opinii o nim u jego pacjentów. Były one jednogłośnie i jednoznaczne: dobry fachowiec, go-

tów do niesienia pomocy chorym o każdej porze dnia i nocy. On jeden utrzymał się w Konopnicy tak długo, bo dziewięć lat. Jego poprzedników było tu kilkunastu, odchodzili po kilku miesiącach pracy.

Kandydat na „lekarza osiedlowego” nie tańl przede mną, że pociąga go perspektywa eksperymentu, lecz że zarazem bardzo się boi. Mówiliśmy wtedy wiele o ryzyku. Podwójnym. I dla lekarza, i dla jego zwierzchników. Z jednej strony — nie znane obowiązki i ogromna odpowiedzialność, jaka spada na głównego bohatera eksperymentu. Z drugiej

Przyszły pracodawca — w osobie dyrektora ZOZ Łódź-Widzew, Kazimierz Nowicki — w długiej rozmowie poruszał kwestię najistotniejszą chyba — problem zastępstwa. Zwracał uwagę na wypowiedź Zenona Stańczyka przed kamerami telewizyjnymi, który stwierdził, że nie chce być niewolnikiem swojego gabinetu. I trudno mu się dziwić. Tego zresztą, aby lekarz był przez dwadzieścia cztery godziny do dyspozycji swoich podopiecznych nie można byłoby wymagać nawet od doktora Judo-czesnych lekarzy, a nie misjonarzy ma. A przecież potrzebujemy nowo-

szkania: jedno większe — dla lekarza i jego rodziny, drugie — obok dla jego pacjentów, z gabinetem, poczekalnią i sanitariatami.

Inicjatorzy i organizatorzy eksperymentu dwóili się i troili, żeby przygotować wszystko jak najlepiej, włącznie z odpowiednią motywacją i kontrargumentami dla swoich przeciwników. W każdej chwili oczekiwano ataku. Przygotowywano się do jego odparcia. Cios jednak przyszedł z całkiem nieoczekiwanej strony!

Minał czerwiec 1975 r. W osiedlu „Przybyszewskiego — Łęczycka” zamieszkali pierwsi lokatorzy. I nic! Eksperyment nie ruszył. Minał październik 1975 r. Budowlani przekazali do użytku drugi wysokościowiec. I co? Znow nic!

Po prostu — okazało się, że w naszym systemie organizacyjnym bez papierków ani rusz. ZOZ widzisk nie uzyskał od „Baweiny” żadnych deklaracji na piśmie. Ponieważ nie było żadnego biurokratycznego protokołu prowadzonych wielokrotnie ze spółdzielnią rozmów, „Baweina” zaczęła się wycofywać. Nieważne, że łódzka prasa i ogólnopolska telewizja zrobiły jej trochę reklamy, pisząc i mówiąc o tym, jak to „ładnie się na rękę” służbie zdrowia.

Doktor Zenon Stańczyk siedzi sobie w Konopnicy od maja 1975 r. na waułkach. Jego łódzcy pacjenci odwołani są do jednego gabinetu lekarskiego do drugiego. Wszyscy czekają na uruchomienie eksperymentu, wszyscy są za — a tu nic!

Doświadczenie zostało przygotowane, zaakceptowane przez wszystkie możliwe władze, znalazły się fundusze, znaleźli się wykonawcy — i nic! Po prostu — zabrakło „próbówk”.

Doktor Kazimierz Nowicki — dyrektor widzisk ZOZ — m-mo pięćmiemiejszcznej choroby, nie dawał i nie daje za wygraną. Mając za sobą silne poparcie władz ziemnych, wszedł w ścisłe porozumienie z Łódzkim Związkiem Spółdzielczości Mieszkaniowej. Na tym szczeblu mają teraz zapasć ostateczne rozstrzygnięcia. W grudniu oddawany jest do użytku trzeci i ostatni wysokościowiec osiedla „Przybyszewskiego — Łęczycka”. „Baweina” jest już skłonna dać mieszkanie, ale c-a-g-e jeszcze nie chce uznać potrzeb wyczących jego struktury. Jeśli nie da się przekonać — cała sprawa weźmie w łeb. Cóż bowiem pocznie lekarz osiedlowy z mieszkaniem o strukturze M-4 czy nawet M-5. Będzie wpuszczał swoich pacjentów do swojej toalety? Przechowywał ich garderobę we własnej szafie? Zamylał własne dzieci w kuchni, żeby nie przeszkadzały podczas badania?...

Wszystko więc na najlepszym drodze, aby eksperyment w sposób całkiem nieoczekiwany — nie wypalił! Nie po raz pierwszy zresztą słusna inicjatywa natrafia na najbardziej prozaiczną przeszkodę. Czy i tym razem ma być to przeszkoda nie do ominięcia?

Na szczęście, na Widzewie są jeszcze odwagi. Odważny jest dyrektor ZOZ, odważne są władze dzielnic. Nie rezygnują ze sprawy osiedla „Przybyszewskiego — Łęczycka”. Idą zresztą znacznie dalej: chcą uruchomić równocześnie instytucję lekarza osiedlowego w innym małym osiedlu, na „Górcie”. Ponieważ jest to osiedle kwaterekowe, z mieszkaniem nie ma takich problemów. Naczelnik dzielnicy obiecał, że da odpowiedni lokal. Kandydat (a raczej kandydaci, bo małżeństwo lekarskie, w którym mąż sprawował ma zastępstwa i równoczesny nadzór chirurgiczny) też są. Idea więc cała — po roku od jej narodzin — doczeka się może realizacji. Chyba, że... Chyba, że znów zabraknie jakiegos papierka. Tak, ale wówczas nie znajdą się już odważni, którzy rozpoczną wszystko od początku...

JACEK INDELAK

## PAPIEROWA PRZESZKODA



Foto: W. Parys

zaś strony — ryzyko dla zwierzchników, którym kandydat na lekarza może, po dostaniu się do Łodzi i otrzymaniu mieszkania, powiedzieć: dziękuję bardzo, mnie już to nie bawi, zmieniam pracę...

Doktor Stańczyk mówił wówczas przekonywająco o zaangażowaniu swojej opinii „moralno-zawodowej”, o tym, że wszyscy — jak przez łupę — będą patrzyli na jego wszelkie potknięcia i niedociągnięcia. Mówił też o tym, że jego żona — nauczycielka matematyki w jednym z łódzkich techników, zameldowana jest na stałe w Łodzi, że należy od kilku lat do spółdzielni „Baweina” i wczesniej czy później mieszkanie w niej by dostała.

Mówiliśmy o tym wszystkim, sądząc, że sprawa ta jest bardzo aktualna, że już w czerwcu 1975 r. Zenon Stańczyk pożegna Konopnicę i otworzy podwoje swego gabinetu w pierwszym z trzech wysokościowców osiedla „Przybyszewskiego — Łęczycka”.

W podobnej atmosferze — pełnej współczucia i emocji — przebiegały inne rozmowy. W Łodzi rozmawialiśmy o regulaminowych ramach tego formalno-prawnego precedensu. O zakresie obowiązków i przywilejów lekarza osiedlowego, o zasadach wynagradzania, o proporcjach jego udziału w kosztach utrzymania jego mieszkania etc.

pozbawiających się dobrowolnie prawa do własnego życia...

Przedstawiciel władzy zwierzchniej — w osobie zastępcy dyrektora Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Miasta Łodzi, Bolesław Filipczak — z uznaniem podkreślał znaczenie inicjatywy widziskich kolegów. Sama idea lekarza domowego nie była, oczywiście, niczym nowym. Duże jednak nowum stanowiła próba przeniesienia tego wypróbowanego i sprawdzonego gdzie indziej pomysłu w nasze warunki. Chodził o stworzenie w pewnym sensie od podstaw — modelu. Wzorca, który mógłby posłużyć do ewentualnego powielenia. Bo przecież — jak podkreślał dr Filipczak — do wprowadzenia tego przedsięwzięcia w życie skłania nas w mieście nie tylko aktualna konieczność, ale i żywotna potrzeba społeczna. Rzecz w tym więc, aby cały ten eksperyment traktować nie tylko jako do-razne działanie, ale i spojrzeć perspektywicznie na cały problem...

W toku rozmów, dyskusji, narad roboczych ramy i zasady eksperymentu zaczęły się coraz szybciej wyłaniać z formalno-prawnej mgiełki. Rychoło rzecz została obmyślana w najdrobniejszych szczegółach. Zadecydowano również, że ze względów sanitarno-higienicznych, jak i życiowych, na placówkę lekarza osiedlowego złożyć się powinny dwa mie-

## LISTY

### „BŁĘDY MAŁE I DUŻE”

W związku z felletonem Cwieka „Błędy małe i duże” wyjaśniamy, że placówka meblowa przy ul. Brukowej 4 jest sklepem-magazynem, który pracuje w warunkach nieprzystosowanych do prowadzenia sprzedaży wzorowej. Z uwagi na notowany w ostatnich latach ogromny wzrost popytu na meble i brak odpowiednio przestrzennej powierzchni sprzedażowej, potrzebnej w branży meblarskiej, uruchomienie sprzedaży w tym magazynie miało charakter przejściowy i podyktowane było koniecznością. Ponadto placówka boryka się z trudnościami kadrowymi — brak pracowników magazynowych i sprzedawców.

W dniu 5. XI. 75 r. większość osób materialnie odpowiedzialnych — personelu sklepowego brała udział w inwentaryzacji zdawczo-odbiorczej, odbywającej się w magazynach przysklepowych, która ze

względem na tak duże nasilenie sprzedaży w IV kwartale 1975 r. prowadzona była z zachowaniem ciągłości sprzedaży. Uszczuplona załoga sklepu nie była w stanie ustawić na wystawie miejsce mebli przebranych przez liczną rzeszę klientów, co stwarzało w czasie godzin pracy sklepu ogólny nieporządek.

Jednocześnie informujemy, że w myśli naszych postanowień w I kwartale 1976 roku nastąpi nowa organizacja zasad pracy sklepów, przy której placówki meblowe zlokalizowane na terenie miasta Łodzi będą prowadzić sprzedaż w oparciu o wzorce, a pomieszczenia przy ul. Brukowej będą magazynem rozdzielczym, co znacznie usprawni proces obsługi klienta.

Z-ca Dyrektora d/s Handlowych mgr inż. ALEKSANDER KOSIŃSKI

(Zastępca dyrektora Przedsiębiorstwa Handlu Meblami)

### „KOT W WORKU”

W felletonie — „Kot w worku” WIDOK wytykając Władysławowi Kopalińskiemu pewne nieścisłości w jego książce: „Kot w worku...”, sam popełnia dosyć wąski błąd, następujące dezinformując swoich wiernych czytelników: „Nie wiadomo bowiem, jaką drogą przebył ów mazurek, na treny dzisiejszej Jugosławii, aby stać się hymnem Ludowej Republiki Jugosławii. Wiadomo przecież, że MAMY IDENTYCZNE HYMN”.

Otóż wcale nie mamy identycznych hymnów, tylko podobne. A różnica jest następująca:

— tempo hymnu jugosłowiańskiego jest tempem poloneza, zaś naszego tempem mazurka (Mazurek Dąbrowskiego),

— oba hymny zaczynają się od innego dźwięku początkowego,

— zakończenie pierwszej części hymnu jest inne,

— refreny hymnów, to zupełnie inne melodie,

— oba hymny kończą się na innych dźwiękach,

— faktura rytmiczna obu hymnów jest w wielu miejscach różna, nawet w miejscach podobnych melodycznie.

To tylko niektóre różnice. Faktycznie wielu ludzi nie dostrzega „inności” hymnów obu krajów. Ale to wynika z faktu, że ze słuchaniem muzycznym u nas — a nasz hymn śpiewamy jedynie przed prestiżowymi międzynarodowymi meczami piłki nożnej.

Henryk Teodorczyk (Lubartów koło Lublina)

OD REDAKCJI: Ma Pan absolutną rację. Cóż jednak poradzić na to, że oba hymny są podobne.





## SPORT

### ROK OLIMPIJSKI

Tradycyjnie z nowym rokiem w prasie pojawiają się rysunki ukazujące stary rok jako zgrzybiałego staruszka i nowy — jako wyrosłego niemowlaka. Katowicka „Trybuna Robotnicza” nie odstąpiła od tej tradycji, w numerze z 31 grudnia 1975 roku sprezentowała czytelnikom spory zestaw rysunkowych dowcipów na temat starego i nowego roku. Na jednym z nich ściga się na bieżni staruszek z „numerem startowym” 1975 i chłopczyk z „numerem” 1976. Samotny kłbik wolał pod adresem staruszka:

— Uważaj, bo to olimpijczyk!  
Istotnie, rok, który nam nastąpi, jest rokiem olimpijskim. Już w lutym XII Zimowe Igrzyska Olimpijskie w Innsbrucku, a później, latem — XXI Igrzyska Olimpijskie w Montrealu. Rok jest więc olimpijski, ale komu przyniesie olimpijskie laury? Rzecz bowiem już nie tylko w tym, aby brać udział w Olimpiadzie, ale aby przynieść z Olimpiady medale. W każdej następnej Olimpiadzie rośnie liczba uczestników, a więc i konkurencja staje się większa i ostrzejsza. Jeśli w Rzymie brało udział w zmaganiach olimpijskich blisko 5.400 zawodników, to już w Tokio — prawie 6 tysięcy, w Meksyku — 6.058, a w Monachium przeszło 10 tysięcy zawodników.

Przypomnijmy sobie jeszcze, że w Rzymie Polska zajęła w ogólnej klasyfikacji VI miejsce, w Tokio — VII, w Meksyku — VIII, a w Monachium — znów VII. To tylko potwierdza fakt, że konkurencja staje się coraz bardziej trudniejsza i ostrzejsza. A to stwierdzenie powinno jedynie mobilizować zawodników i działaczy klubowych do coraz większych wysiłków nad rozwojem naszego sportu, a nie usprawiedliwiać, czy demobilizować.

Wszystkich nas jednak nurtuje pytanie: Jakże mamy szansę na tegorocznej Olimpiadzie? I chyba nie przesadzam z tym „wszystkim”, bo sport stał się ostatnio bardzo popularnym i interesuje nie tylko zawodników i kibiców. A więc, jakie mamy szanse? Czy marzenia o medalach mogą być spełnione?

Nie mam zamiaru bawić się we wróżkę, ani też sportową futurologia nie jest moim ulubionym zajęciem. Nie mam też zamiaru osądzać zapalu i ambicji. O to, po prostu chciałabym tylko przypomnieć, jacy byliśmy ostatnio i co z tego wynika dla olimpijskich marzeń.

Na początek smutna prawda, ale ze sportami zimowymi u nas nie jest najlepiej. Ilustruje to dobitnie fakt, że na ostatnich czterech zimowych igrzyskach wywalczyliśmy tylko trzy medale. Złoty w pamiętnym 1972 roku w Sapporo za skok narciarski Wojciecha Fortuna, srebrny i brązowy za jazdę szybka na lodzie w Squaw Valley w 1960 roku. Jak będzie już w lutym? Specjaliści są dobrej myśli, ale specjaliści zawsze byli dobrej myśli. Gorzej było z rezultatami. Pewne szanse są. Przypomnijmy jednak, że bardzo skromne. Czego już do tej pory nie zrobiono, nie da się odrobić. Pozostaje nam liczyć na szczęście, tak jak to było w 1972 roku w przypadku Wojciecha Fortuna.

Lepiej wygląda prognoza na igrzyska letnie. Sądząc po wynikach osiągniętych do tej pory kandydatem do medalu jest niewątpliwie Andrzej Szajna — nasz złoty gimnastyk. Kandydatką do medalu jest też Irena Szewińska. Można zakładać, że powiniem z medalem wrócić z Montrealu Władysław Kozakiewicz. To samo Grażyna Rabsztyń. To są „pewniacy” w lekkiej atletyce. Chciałabym jednak przypomnieć, że w sporcie nie ma pewniaków. Na ostatni rezultat składa się tyle czynników, że trudno je wszystkie przewidzieć. Nie mówimy więc pretensji, jeśli naszym najlepszym nie powiedzie się. Oby tylko byli ci, którzy będą w przyszłości mogli zająć ich miejsce. I to powinno być największą troską działaczy sportowych.

Specjaliści są zdania, że nasi sportowcy mają szansę na zdobycie medalu w boksie (Andrzej Biegalski i Wiesław Rudkowski), kajakarstwie, kolarstwie (Ryszard Szurkowski, Stanisław Szozda, Tadeusz Mytnik, Kazimierz Barcik, Mieczysław Nowicki, Janusz Kowalski), wioślarstwie, podnoszeniu ciężarów, zapasach.

Dotychczasowe poczynania siatkarzy pozwalają mieć nadzieję, że polska drużyna wróci z Montrealu z medalem. Taki zresztą cel stawia sobie i drużynie trener Hubert Wagner. Wypada im tylko żyć wytrwale w realizacji tego celu. Należy przedstawić się sytuacji z naszą olimpijską jedenaścią piłkarzy. Bada oni bronili tytułu mistrza olimpijskiego, a nie będzie to sprawa łatwa. Przede wszystkim dlatego, że na drodze do zachowania złotego medalu stanie kilka silnych drużyn, a wśród nich jedenastka ZSRR. Ostatnie rozgrywki piłkarskie — nie tylko w Mistrzostwach Europy — przyniosły wiele niespodzianek. W pilce nożnej dokonule się nieustanne przegrupowanie sił. A nam nieustannie marzy się złoty, olimpijski medal dla piłkarzy. Czy sprostażą?

Niespodzianek można spodziewać się wielu. Życzymy sobie tylko, aby te niespodzianki były — choć w znacznej części — udziałem naszych sportowców. Ale, aby życzenia te spełniły się, potrzebna jest nieustanna praca, doskonałe formy, techniki. A to już zależy od samych zawodników. Mam nadzieję, że nas nie zawiodą. Mam nadzieję, że sprawa nam wiele emocjonujących niespodzianek. Są to nadzieje nie tylko moje.

BOGDA MADEJ

## HIPOTEZY

### CZĘŚĆ I

Czy poza naszą planetą istnieją we Wszechświecie inne cywilizacje, które za pośrednictwem latających talerzy penetrują życie na Ziemi? Czy w przyszłości nie grozi nam wojna międzyplanetarna? Czy latające talerze są formą podróży w czasie istot żyjących w innych wymiarach, czy też w świecie istniejącym równoległe z naszym?

Oto tylko niektóre z pytań, które od dawien dawna wciąż nurtują ludzi. Dla jednych problem jako taki po prostu nie istnieje. Uważają bowiem, że w Kosmosie nie ma istot rozumnych poza mieszkańcami Ziemi. Według nich NOL (niezidentyfikowane obiekty latające) czyli tzw. latające talerze są jedynie tworem ludzkiej wyobraźni. Z kolei pozostali, nie podzielając tego sceptycyzmu, twierdzą stanowczo, że NOL rzeczywiście istnieją. Na dowód przytaczają liczne przypadki obserwacji tajemniczych obiektów, których pochodzenie wydaje się być trudne do wyjaśnienia.

Niemniej tak jednym jak i drugim nie udało się dotychczas znaleźć przekonujących argumentów na rzecz głoszonych przez siebie opinii. Jak dotąd nie udało się bowiem nikomu nawiązać kontaktu z przedstawicielami innej cywilizacji egzystującej poza naszym globem. Toteż nie należy się dziwić, iż wszelkie teorie i głosy pojawiające się w dyskusjach nad problemem istnienia bądź niestnienia cywilizacji pozaziemskich oraz latających talerzy, za pomocą których odwiedzałyby jakoby naszą planetę, zawsze wywołują ogromne zainteresowanie i żywe emocje u prawie wszystkich ludzi. Jest jednak faktem, iż mimo braku jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, która ze stron ma rację, tajemnicze zjawiska są wciąż zauważalne, a liczba ich sięga już dziesiątków tysięcy. Problem niezidentyfikowanych obiektów latających pozostał więc otwarty, co umożliwiło pojawienie się na jego temat lawiny bardziej lub mniej spekulatywnych teorii nierzadko wspieranych argumentacją „naukową”, które stały się poważnym przyczynkiem do nowego rozkwitu tzw. religii kosmicznej. Te należy, oczywiście, sądzić, że wszystkie doniesienia prasowe i relacje osób, które zaobserwowały tajemnicze obiekty, były nieporozumieniami lub oszustwami, mającymi na celu uzyskanie popularności i łatwego zarobku. Nawet bowiem gdyby przyjąć, że 90 procent wszystkich tych osobliwych zjawisk było wytworem fantazji badaczy problemu latających talerzy, bądź błędą ich interpretacją, to jednak pozostałyby dziesiątki procent obserwacji — jak pisze angielski badacz R.V. Jones — „nie można wytłumaczyć w sposób przekonujący”.

Wskazuje to więc na poważną lukę w naszej wiedzy o zjawiskach naturalnych, a zatem czy można mieć dostateczną pewność, iż fenomen latających talerzy kierowanych przez inteligentne istoty pozaziemskie jest zwykłą fikcją? I tu również trudno o jednoznaczną odpowiedź, bo przecie...

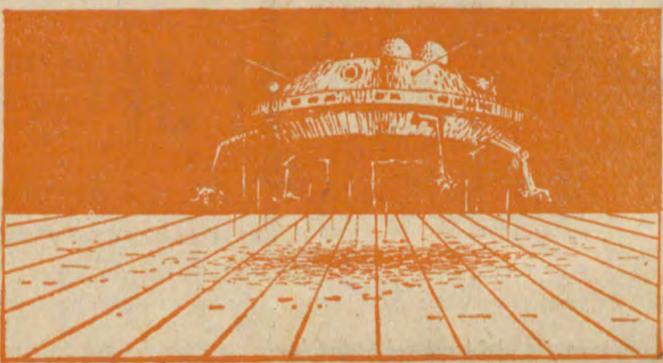
...Zdarzyło się to nocą z 4 na 5 grudnia 1944 roku. Na lotnisku Laredo w Teksasie wylądował samolot wojskowy. Jego pilot, młody porucznik okazywał oznaki silnego zdenerwowania i przerażenia. Gdy wreszcie przyszedł nieco do siebie, zameldował dowódcy eskadry o tym, co zaszło w czasie jego lotu. Znajdował się 20 km od Laredo, gdy nagle jego oczom ukazał się dziw i, świecący przedmiot nieokreślonego kształtu wyraźnie zbliżający się w kierunku pilotowanego przez samolotu. Ow tajemniczy obiekt promieniując bladoniebieską poświatą omal nie uderzył w jego „P-51”. W ostatniej chwili dokonywał nagłego skrętu, po czym oddalił się z olbrzymią szybkością. Nie upłynęła jednak chwila, gdy świecący przedmiot, zatoczywszy koło, ponownie skierował się ku maszynie porucznika. Ten jednak, wylączczywszy światła pozycyjne, na pełnym gazie podążył do bazy. Scigający go obiekt leciał przez jakiś czas za nim, po czym oddalił się w nieznanym kierunku. Relacja pilota nie wywarła

jednak na dowódcy zbyt wielkiego wrażenia. Trwała przecież wojna, a ponieważ wielu innych lotników również meldowało od czasu do czasu o pojawieniu się dziwnych obiektów latających, sądzono po prostu, że jest to jakiś nowy rodzaj broni użytej przez przeciwnika. Dopiero po wojnie okazało się, że tajemnicze świecące o-

BOHDAN FELT

LATAJĄCE TALERZE:

FIKCYJA CZY RZECZYWISTOŚĆ?



Rys. Janusz Szymański — Glanc

biekty zaobserwował oprócz pilotów amerykańskich, angielskich i francuskich również piloci Luftwaffe. Jednak mimo zakończenia działań wojennych dziwne pojazdy latające o kształcie spłaszczonej spłokówki wciąż pojawiały się i to nie tylko nad Ameryką, ale również nad zachodnią Europą, południową Afryką, Indiami, Japonią czy Australią.

Tak oto 24 czerwca 1947 roku Kenneth Arnold, pilotując swoją a-wionetkę z Chekalis do Yakima (w USA) dostrzegł na kursie 9 nie znanych obiektów. Wszystkie one leciały w pewnym szyku przypominającym kształtem literę V, z bardzo dużą szybkością (jakoby ponad 1500 km/godz) i były doskonale widoczne. Owe obiekty przypominały, według Kennetha Arnolda, „odwrocone spodki”. Tak narodziła się ich późniejsza, niezbyt fortunnna nazwa — latające talerze, która nadała im charakter czegoś żartobliwego. Ponieważ jednak obserwacje Arnolda były wciąż potwierdzane i to nie tylko w terytorium USA, ale również w innych częściach świata, powołano specjalne komisje i grupy badawcze złożone ze specjalistów różnych dziedzin, których zadaniem miało być wyjaśnienie fenomenu niezidentyfikowanych obiektów latających. W rezultacie ich badań pogłębiły się jedynie kontrowersje, na ten temat. Część badaczy, jak prof. Donald Menzel, fizyk Edward Condon, psycholog Carl Jung twierdziła bowiem, że latające talerze istnieją po prostu w sferze ludzkiej wyobraźni, a informacje o ich pojawianiu się są spowodowane błędami obserwatorów, przywidzeniami,

bądź nieznanymi pewnych zjawisk naturalnych. Inni, jak prof. Allen Hynek, Jacques Vallee, bądź wytrwały badacz fenomenu latających talerzy — Donald E. Keyhoe są zdania, iż nie można z całą pewnością wykluczyć ewentualności istnienia NOL i że problem wart jest dalszych poważnych studiów.

Na uwagę w tym względzie zasługuje zwłaszcza opinia majora amerykańskiego lotnictwa, Donalda E. Keyhoe, który zaliczany jest do pionierów wśród badaczy niezidentyfikowanych obiektów latających. Keyhoe przez wiele lat pełnił funkcję dyrektora NICAP (Narodowego Komitetu

nych ośrodków potwierdzili pojawienie się tajemniczych obiektów latających.

Oto 8 sierpnia 1967 r. inny wielki pojazd przeleciał nad stacją astrofizyczną w Kisłowodsku, pozostającą pod patronatem Akademii Nauk ZSRR. Obserwacja została zarejestrowana przez jednego z 12 świadków, astronoma Anatolija Sazonowa. Później w różnych miejscach w południowej części ZSRR astronomowie sygnalizowali pojawienie się tego samego obiektu bądź innego identycznego. Miało to m.in. miejsce 4 września, 18 października oraz kilkakrotnie w końcu 1967 roku.

W lutym 1968 roku wiele z tych obserwacji zostało potwierdzonych w Moskwie w formie oficjalnych komunikatów. Najbardziej zdumiewającymi były relacje astronomów z Kazania, którzy na podstawie kilku obserwacji ustalili bliższe dane na temat dziwnego obiektu. Średnica owej półkuli wynosiła około 500—600 metrów, zaś jego szybkość — 8 km/sek, tj. około 18 tys. km/godz. Komunikat ten autorował dr Zigel członek Komitetu Kosmonautyki ZSRR i zarazem wybitny naukowiec z Instytutu Lotnictwa w Moskwie.

Obserwacje tajemniczych obiektów latających olbrzymich rozmiarów nie były bynajmniej odosobnione. Oto na przykład co zarządziła dwa lata wcześniej załoga jednego z samolotów amerykańskich.

Miało to miejsce nocą, 15 lutego 1965 roku. Samolot typu „Flying Tiger” należący do Departamentu Obrony USA przelatywał właśnie nad Pacyfikiem, transportując na swym pokładzie żołnierzy i lotników udających się do Japonii. Znajdował się zaledwie godzinę drogi od Tokio, gdy radar w kabine pilotów zarejestrował echo wywołane przez trzy wielkie obiekty poruszające się z ogromną prędkością. Początkowo operator radaru i piloci sądzili, że zostało to spowodowane defektem aparatury. Nigdy bowiem na ekranie ich radaru nie pojawiały się plamy tej wielkości. Jednak po chwili ujrżeli po niebie, po swej lewej stronie, czerwona światła. Kilka sekund później dowódca samolotu spostrzegł trzy potężne przedmioty w kształcie owali. Leciały w zwartym szyku, z zawrotną szybkością zbliżając się w kierunku „Flying Tigera”. Dowódca pośpiesznie wykonał nagły zwrot, zaś trzy olbrzymie obiekty obróciły się i zaczęły gwałtownie wytracać szybkość. Niebawem znalazły się na tej samej wysokości co samolot, przez cały czas zachowując zwarty szyk. Na podstawie wskazań radaru można było sądzić, iż lecały w odległości 8 tys. metrów od „Flying Tigera”. Mimo jednak tak dużej odległości wydawały się być bardzo potężne. Upłynęło kilka minut w czasie których załoga intensywnie obserwowała trzy świecące pojazdy. Ich rozmiar budził uczucie grozy, NOL nie robiły jednak wrażenia, iż chcą się zbliżyć do samolotu i zadawały się lotem w pewnej odległości. Na rozkaz dowódcy jeden z członków załogi nawiązał kontakt drogą radiową z dowódcą sił powietrznych w bazie na Okinawie. Obawiano się bowiem, że alarmujące meldunki mogą spowodować wystąpienie do rejonu lotu „Flying Tigera” odrzutówco- w. Jednak po dalszych kilku minutach wspólnego lotu cała formacja wykonała pionowy manewr zyskując przy tym fantastyczne przyspieszenie i z szybkością około 2 tys. km/godz. oddaliła się tak samo nagle, jak się pojawiła. Czym były te dziwne, gigantycznych rozmiarów obiekty latające i skąd wzięły się na kursie „Flying Tigera” nikt nie potrafił wyjaśnić. Tak jak we wszystkich poprzednich przypadkach, fakt ten został zarejestrowany jako kolejne pojawienie się niezidentyfikowanych obiektów latających, jednak i tym razem nie rozwikłano tajemnicy, jaką w sobie kryły. Tak więc zaobserwowane NOL nadal pozostały zagadką. Czy na długo?

Badania Zjawisk Powietrznych) skupiającego ponad 100 tysięcy członków. Jest on również autorem szeregu książek na temat latających talerzy, z których ostatnia: „Les Etrangers de l'espace” (przekład francuski) ukazała się w 1975 roku. W swojej najnowszej pracy Donald Keyhoe podaje cały szereg opisów niezwykle dziwnych zjawisk, jakie zaobserwowano w ciągu ostatnich 30 lat prawie na całej kuli ziemskiej, w tym również na obszarze ZSRR. Oto tylko niektóre z nich:

Było to 18 lipca 1967 roku. Dla obsługi obserwatorium astronomicznego w okolicach Kazania był to dzień jak inne... aż do wieczora. Nadszedł zmierzch i dwóch astronomów, mających tej nocy dyżur, rozpoczęło swe zwykłe obserwacje. Nie działo się nic szczególnego. Nagle potężny obiekt latający przemknął bezgłośnie po niebie. Przeleciał nad obserwatorium, Pomarańczowe światło, które biło od niego, pozwalało wyraźnie rozróżnić w ciemności jego kształt. Zadziewające zjawisko! Był to obiekt w kształcie półkuli, bardzo dużych rozmiarów, około 8-krotnie większy od zwykłego samolotu pasażerskiego, z jego tylnej części wydobywały się, podobnie jak z dysz odrzutowców, smugi gazów.

Lecąc z ogromną szybkością ów potężny pojazd zniknął po kilku sekundach z pola widzenia obserwatorów. Obaj astronomowie, będąc pod wrażeniem osobliwego zjawiska, którego byli świadkami, nie sporządzili w danym momencie żadnego raportu, bojąc się posądzenia o halucynacje. Wkrótce jednak astronomowie z in-

## PLASTYKA

### TRIENNALE TKANINY

Dokończenie ze str. 6

Regulamin wystawy nie narzucał artystom żadnych ograniczeń Jolyczących koncepcji prac. Jedynym warunkiem określonym w regulaminie był czas powstania dzieła. Miały to być prace z ostatnich trzech lat. Dowolność koncepcji dopuszczona przez regulamin i ograniczenia czasowe pozwalają przypuszczać, że prace zgromadzone na wystawie są reprezentatywne dla zainteresowań artystów, problemów i tendencji jakie w tkactwie artystycznym wystąpiły w ciągu ostatnich trzech lat.

Wśród 135 prac 97 artystów w sekcji tkanin unikatowych, w tym 97 prac 82

artystów polskich i 40 prac 15 autorów z 14 krajów reprezentowane są różne tendencje od gobelinów przedstawiających tkaniny według tradycyjnych technik do propozycji przestrzennych. Najliczniejszą grupę stanowią prace o strukturze tkackiej, wykonane z tradycyjnych tkackich materiałów, w których zdobyte okresu eksperymentów i poszukiwań wyrażają się w rozszerzeniu środków wyrazu, obok rysunku i barwy w kształtowaniu dzieła artysta postępuje się także technika, splotem, materiałem traktując je jako elementy formalne, równoważne.

Nagrody i wyróżnienia przyznane uczestnikom Triennale przez Międzynarodowe Jury powołane przez Komitet Organizacyjny pochodzą z fundacji Mi-

nisterstwa Kultury i Sztuki, Ministerstwa Przemysłu Lekkiego, Urzędu Miasta Łodzi i Zarządu Głównego Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego. Nagrodę Ministerstwa Kultury i Sztuki otrzymał MASAKAZU KOBAYASHI (Japonia), nagrodę Ministerstwa Przemysłu Lekkiego EDIT VIGNERE (Związek Radziecki, Łotwa), nagrodę Urzędu Miasta Łodzi JOZEF MILLER (Czechosłowacja), nagrodę Zarządu Głównego Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego IZABELA MARCIAN (Polska). Wyróżnienie Ministerstwa Przemysłu Lekkiego przyznano MARI LASKIEWICZ (Polska), wyróżnienie Urzędu Miasta Łodzi otrzymał TAPTA WIERUSZ-KOWALSKI (Belgia) i RYSZARD KWIECIEN (Polska), wyróżnienie Zarządu Głównego Związku Zawodowego Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego przyznano ALEKSANDRZE PUKACZEWSKIEJ (Polska).

Medale Komitetu Triennale otrzymali

DYMITAR BALEV (Bułgaria), MARIA CHOJNACKA (Polska), ALICE KUCHAROVA (Czechosłowacja), LILLA KULKA-DROZDOWSKA (Polska), ANA LUPAS (Rumunia), AURELIA MUNOZ (Hiszpania), ANNA OLCZYK-KOČIKOWA (Polska) i KIRSTI RANTANEN (Finlandia).

Medale ufundował także Zarząd Okręgu Łódzkiego Związku Polskich Artystów Plastyków, który powołał własne jury. Medale te otrzymali: DIMITAR BALEV (Bułgaria), JANINA TWOREK-PERZGAŁSKA (Polska), CLAIRE i ARTHUR JOBIN (Szwajcaria), MASAKAZU KOBAYASHI (Japonia), BARBARA CZERNIEWSKA (Polska), DANUTA SIENKIEWICZ (Polska).

16 tkanin, w tym 8 z zagranicy powiększy kolekcję Centralnego Muzeum Włókiennictwa, 12 tkanin do tej pory zakupiło Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Dokonano też innych zakupów.

HALINA JURGA

# ZDARZENIA I ZWIERZENIA

## PARODIE

Wydaje się, że zanika u nas piękna, choć niełatwa, sztuka parodii. Myślę oczywiście o parodii poetyckiej, traktowanej jako literacka zabawa. Bo przecież istnieją w literaturze parodie wysublimowane, przepiękne przez setki filtrów, zintelektualizowane... Choćby słynny „Ulisses” Joyce’a, który jest taką właśnie, filozoficzną parodią mitu Odyszeusza i mitu Żyda Wiecznego Tułacza. Tylko, że wówczas parodia staje się pastiszem — nie ośmiesza i nie wyszydza stylu lub manery, ale świadomie wykorzystuje z motywów i stylów prowadzi własną grę literacką.

My jednak pomówimy o parodii, o literackiej zabawie, satyrze i żarcie. A jest po temu stosowna okazja, bo właśnie ukazała się książka Witolda Zechentera „Gabinet uśmiechów”. Zechenter jest bodaj ostatnim, który uprawia ten zanikający gatunek literacki. Nie żyje już bowiem najlepszy chyba współczesny parodysta polski, Artur Maria Swinarski. A jest on

wzorem dla parodystów niedoścignionym.

Pamiętam jak przed laty sparodiował Gałczyńskiego — jego schematyczne wiersze z początkiem lat pięćdziesiątych: „Żarówko planowana żarówko wykonana na dzień przed terminem! Bańka szklana i drukarkę w drukarkę kogucik pieje godzinę”.

Albo fragment „Kwiatów Polskich” Tuwima, owe słynne „Bukiety wiejskie jak wiadomo — wzięne były wzywy lub stromo”, Swinarski parodiując: „Bukiety z jarzyn jak wiadomo — smakoszem oraz gastronomom...” i tak dalej.

Zresztą i Tuwim był zrenowowanym parodystą. W roku 1914 napisał cykl parodii drukowanych w „Nowym Kurjercie Łódzkim”. Wówczas, jak wszystko w Łodzi, przeszły one bez echa, głośno stały się dopiero wówczas, kiedy w trzy lata później poeta recytował te wiersze w kawiarni poetów „Pod Pikadorem”. Nam właśnie mówiąc, na tym samym

wieczorze poetyckim Antoni Słonimski odczytał swoją parodię głośnego wówczas wiersza Tuwima „Wiosna”. Niestety, tekst ten nie zachował się, nigdy bowiem nie był drukowany.

Wróćmy jednak do Tuwima. Otóż w cyklu tym poeta wziął za punkt wyjścia znany wierszyk Jachowicza, zaczynający się od słów: „Nie rusz, Andziu, tego kwiatka...” Na ten kanwie napisał, jak ów motyw wyglądałby u Reja, Staffa, Micińskiego, Nowaczyńskiego, Oppmana, Heinego, Przybyszewskiego... Dzisiaj te parodie nie bawią współczesnego czytelnika. Większość „przedrzeźnianych” autorów nie jest zbyt szeroko znana, a chcąc smak parodii docenić, trzeba znać pierwowzory.

Myślę, że warto zacytować z najnowszej książki Witolda Zechentera zabawną parodię stylu wybitnego polskiego poety. Którego? Chyba nietrudno odgadnąć. Kto przysłał pierwszą kartkę pocztową z odpowiedzią, otrzymaną od niżej podpisanego nagrodę książkową.

A oto tekst, który jest zabawą na temat: jak poszczególne poeci napisaliby słynny monolog Hamleta.

„Być czy nie być — ach, to jest pytanie!

Czy ugiąć się, jak każe los, czy wyprężyć zwycięskie swe ramie i odeprzeć w walce każdy cios? Nie umierać, nie spać, towarzysze! Nam już serca nie ukołó snem! Ciało nie jest już więcej — dziedzicem! Już ten kres wywalczył nowy dzień!”

Ten sam tekst w wersji Ewy Szelburg-Zarembiny dla dzieci zaczyna się tak: „Czy dla bytu czy niebytu to pytanie fitu — fitu! Umysł cierpi ciosy, strzały od Fortunki ha! ha! ha!”

Na koniec pewne wyjaśnienie. Tytuł felietonu „Parodie” ale właściwie należałoby jeszcze dodać, że pastisz to parodia serio; jeśli natomiast naśladowictwo stylu jest ironiczne — wówczas mamy do czynienia z persyflawem i dopiero, kiedy naśladowictwo jest złośliwe — wtedy mamy parodię.

Trochę to skomplikowane; nie bawmy się zatem w teorię, która zresztą najchętniej w zerzeniu z utworem okazuje się niezbyt przejrzyta. Lepiej więc sięgnąć po tomik parodii.

WIDOK

## OPINIE

### CZY JUŻ WSZYSTKO WIEMY O TECHNICIE?

Jeśli mały Jasio z gorączkowymi wypiekami na buzi i z zapartym oddechem śledzi precyzyjne poruszanie się zdalnie sterowanego samochodu, czy robota np. produkcyjnego japońskiego, można go zrozumieć i należy uznać to za normalne i w pełni uzasadnione, m.in. jego wiekiem, poziomem wiedzy itp. Id. Dziwnie jest jednak i budzące głębsze refleksje, gdy z podobnym niemal celem techniki obserwuje działanie wiertarki udarowej na stoisku firmy Boscha na Targach Poznańskich, nie zdając sobie sprawy z tego, że podobne wiertarki produkujemy (wprawdzie od niedawna) już w kraju, jak również i z tego, że od szeregu lat nie są to już rewelacje techniczne.

Podobnie zbiorowy zachwył budził w stoisku firmy „Hilti” z Liechtensteinu, wiertarka z wymiennym uchwytem narzędziowym, która wierzcia w metalu otwór, następnie gwintowała go, wkrecała wkręt, a następnie... umiała ten wkręt wykre-

cić. Szereg lat temu ta sama firma demonstrowała w Poznaniu bardzo zmodyfikowaną, tani i prostą, przy pomocy którego łatwo wbiła się gwóźdź (prawda, że specjalnie) w ścianę, jakie posiada nasze budownictwo, z czym każdy z nas ma szalone kłopoty, a do czego u nas powszechnie jeszcze dziś trzeba stosować działko przeciwpancerne o nazwie „Grom”, notabene produkcji łódzkiej „Wifamy”.

Nie wszyscy jednak obserwujący działanie tego przyrządu byli „zauroczeni”, znalazł się racjonalizator, bodajże z „Termoplastu” który postanowił zbudować polski odpowiednik tamtego przyrządu. Widziałem nawet jego prototyp. Ale trudnościami napotkał na swej drodze, ich różnorodność i zakres zalany go. I tak nadal jesteśmy skazani na strzelanie z „Groma”, technika jest stosunkowo niski poziom cywilizacji w przemyśle i książce technicznej. Wielu z nas nigdy nie ma czasu na literaturę

fachową, a przecież potrzebne są jeszcze i chęci. Z tego też powodu najniższej poziomu i możliwości techniki krajowej oceniamy miarą posiadanych przestarzałych informacji. Jeszcze gorzej jest z informacją na temat techniki światłowej, a przecież postęp techniczny jest tak szybki, że należy go śledzić niemal codziennie. Nie jest to łatwe, mimo że posiadamy w kraju dość liczne ośrodki informacji zwane popularnie: CINTe.

Madry ludzie twierdzą, że do bry konstruktor powinien swoich rozwiązań daleko wyprzedzać i zmuszać go do poszukiwań nowoczesnych metod i technologii wytwarzania. Nie jest to takie łatwe, ale jest konieczne. Trzeba obalać mity o szczytowych osiągnięciach techniki, rzekomo ponadczasowych i przekonować się o tym, że każde nowo rozwiązanie jest w bardzo krótkim czasie wyprzedzane przez inne, jeszcze lepsze. Nie ma bowiem rozwiązań idealnych, skończonych.

W artykule „Kariera” Krysty-

ny Majdy z „Głosu Robotniczego” spotkałem się z wypowiedzią młodego inżyniera, który twierdził, że „... przy odciecznych krosnach nie trzeba już racjonalizatorskich pomysłów”.

Pamiętam, jak przed laty, gdy wprowadzono licencje na Fiatu 125 na Żerania, mówili się różnie, że skończyła się era racjonalizacji, a przecież już w niedługim czasie racjonalizatorzy z FSO dowiedli, że tak nie jest. Oczywiście, poziom technologii fiatowskiej musiał wpłynąć i na poziom rozwiązań racjonalizatorskich, ale to jest przecież zupełnie zrozumiałe i racjonalizatorzy pierwsi pojechali w sposób prawidłowy. Otrzymała większość załogi FSO szkolenie i dokształca, wielu studiowało na politechnice. Problem zresztą nie tylko w formach kształcenia. Działający robotnik, zainteresowany swoją pracą, potrafi drogą samokształcenia i śledzenia literatury technicznej w swojej specjalności osiągnąć taki poziom wiedzy, że może być partnerem w dyskusji z pracownikiem Instytutu, czy placówki naukowej-badawczej. Znam osobiście kilku takich robotników. Warto brać z nich przykład.

KAZIMIERZ SKIBICKI

## PROPOZYCJE

### REHABILITACJA WILKA

Jeszcze w szkole uczono nas, że poszczególne zwierzęta uosabiają różne cechy — najczęściej ludzkie. Baran — wiadomo — łagodny i głupi. Osioł — aparty, a i mądrością nie grzeszy. Lis — chytry i przebiegły. Orzeł — plak królewski, uosobienie najlepszej cechy: dumy, mądrości, ambicji, odwagi. Wilk — krwiożerczy bandyta, drapieżnik bez serca. I oto nagle, w roku 1976 roku niemal sensacja. Decyzja ministra leśnictwa i przemysłu drzewnego wilk od 1 stycznia 1976 roku stał się zwierzęciem chronionym. Prawo chronić będzie wilka w okresie od 1 kwietnia do 1 sierpnia każdego roku. Do tej pory płacono nagrody za zabicie wilka. Teraz myślowo może (i powinna) spotkać kara.

Przez wiele lat wszystkich nas razem i każdego z osobna uczono, że wilk jest najgorszym drapieżnikiem, żyjącym w naszym kraju, że jest najbardziej niebezpiecznym zwierzęciem, którego trzeba bać. Malarsze rysowały wilki napadające zima samotnych jeźdźców na koniach, atakujące sanie z przerażonymi pasażerami. W bajkach wilki przybierały odrażające postacie, które nie potrafiły uszanować chorej babei, a i Czerwonego Kapturka chrupał na deser. Dopiero bohaterki myślowo musiały przuć brzuch takiego potwora i wydobywać stamtąd i babcie, i

Czerwonego Kapturka, aby bajka mogła skończyć się dobrze i aby zło mogło być ukarane. I oto nagle wszystko wzięło w łeb. Niedźwiedź też jest groźnym zwierzęciem, ale niedźwiedzia nikt się nie boi. Misiami dzieci się bawią, misie dostaje się w prezencie, misie są sympatyczne i łobozliwe. Niedźwiedzia nikt się nie boi, po pierwsze choćby tylko dlatego, że spotkanie z niedźwiedziem w cztery oczy jest tak możliwe, jak trafienie szóstki w Totolotka. Podaję zresztą każdy z nas ma większe szanse — oczywiście o ile gra w Totolotka — niż na spotkanie z niedźwiedziem. Nie wiem dokładnie, ile jest w Polsce niedźwiedzi. Wilków jest około 200 i każdy kto trafiłby na wilka miałby ogromnego stracha. Spotkanie takie — oczywiście — musiałoby mieć miejsce w lesie a nie w ogrodzie zoologicznym.

Wilki są okropne, ale można sobie o nim poradzić. Na Kaszubach opowiada się bajkę, w której chytry lis wraz z wilkiem wybrali się do wsi na wesele. Weszli do spiżarni, objęli się i opili do syta, a może i nawet więcej. Wilk w każdym razie spłił się porządnie i zaczął śpiewać. Weselnicy dopadli go i sprali mu tak skórę, że ledwie uszedł z życiem. Moral z tej bajki płynnie taki, że każdy powinien trzymać się tego, do czego został powołany. Wilk w każdym razie

nie został powołany do śpiewania. I dostał za swoje.

Wilk jest uosobieniem zła i bezwzględności. Wielec prawo — to prawo silniejszego. Wilczym prawem kierował się Aleksander Wielki, kiedy postawiono przed nim korsarza, którego bez chwili wahania skazał na śmierć. Korsarz wyrok ten przyjął spokojnie i oparzył go komentarzem: Robisz, panie, to samo co i ja, a różni się ode mnie tylko tym, że ja mam jeden okręt, a ty ich wiele. Biedny wilk zawinił ludziom tylko tym, że w sposób drapieżny zdobywał pożywienie dla siebie i swoich dzieci. Człowiek, pragnąc rozrzucić się przed samym sobą, wszystkie swoje złe cechy przypisał wilkowi.

Człowiek nie oszczędzał wilka. Nie tylko na niego polował, a było to bardzo dawno temu usprawiedliwione, bo wilki niszczyły mu stada. Człowiek umyślił też ludzkie tortury dla wilka. Mikołaj Rej już opowiadał anegdotę o chłopach, którzy złapali drapieżcę i zastanawiali się jak go ukarać. Któryś z nich wpadł na ślepe ludzki pomysł i poradził, aby za pokucie ożenił wilka. Niech tak cierpi jak i my z naszymi żonami. Człowiek też każe przebieierać się wilkowi w owczą skórę i udając barana napadać na inne barany. Wilk poluje zgodnie ze zwierzęcą naturą. To człowiek zwykł był — i tak czyni nadal — przebieierać się w skórę innych i nosi maski. Wilk zawsze jest sobą.

I oto ten straszny wilk stał się od 1 stycznia 1976 roku zwierzęciem chronionym. Słuszna to decyzja, bo człowiekowi

nie wolno naruszać praw przyrody, nie wolno naruszać biologicznej równowagi. W Polsce mamy jeszcze około 200 wilków. W Skandynawii wyniszczono je zupełnie i dziś myśli się o tym, aby znów sprowadzić te zwierzęta. Wilk — w konsekwencji — okazuje się zwierzęciem pozytywnym. Wilk, jak twierdzą zoology, jest mądrzejszy od człowieka, — poluje tylko na zwierzęta stare i samotne, troszcząc się o to, aby nigdy nie zabrakło mu pożywienia. Dlatego też nigdy długo nie poluje w jednym miejscu. Jest myśliwym wędrownym.

Człowiek mądrzejsze powoli. Dziś już myśli się o ochronie rysia. Zwierzęta to również powoli ginie na naszych terenach. Jeśli nie zaprzestanie się takiego postępowania może nadejść czas, kiedy trzeba będzie sprowadzać rysie do Polski.

Człowiek twierdzi, że jest królem wszelkiego stworzenia na ziemi. Mądrość powinna być cechą królów. Mądrość powinna nakazywać człowiekowi, aby umiał nie tylko działać, ale też przewidywać dalekie skutki swojej działalności. Tak moralny wpływ człowieka tylko z historii wilka — choćby uosobienia zła, dziś zwierzęcia chronionego. Mądrość powinna nakazywać człowiekowi stałe rozwidowania poglądów i stereotypów. Propozycje odczłowieczenia wilka. Niech stanie się tylko zwierzęciem, które — jak wszystkie w przyrodzie — ma też prawo do istnienia.

MARCIN RODAK

### LAJONIK



Przed paroma laty na ementarzu Rakowickim w Krakowie złożono prochy pisarza Zygmunta Nowakowskiego. Był to chyba najpopularniejszy człowiek z postaci Krakowa lat trzydziestych. Zaczynał jako aktor, ale niezwykłości tej postaci dawał fakt, że jako pierwszy z polskich aktorów uzyskał stopień doktora filozofii i posiadał cenny dorobek historyczno-literacki. Był dyrektorem

Teatru im. Słowackiego w Krakowie, był najpopularniejszym felietonistą „Mustrwanego Kurjera Codziennego”, pisał sztuki i powieści, z których „Przyładek Dobrej Nadziei” wznowiono przed paru laty.

Przebogata i niezwykle interesująca twórczość felietonowa Nowakowskiego wydało niedawno Wydawnictwo Literackie, w opracowaniu Henryka Markiewicza. Potężny tom zawiera publikacje z lat 1931-1939, opatrzone je bardzo ciekawymi przypisami, aby współczesnemu czytelnikowi przybliżyć i wyjaśnić niektóre nazwiska, aluzje i sprawy — dziś już przecież historyczne.

Nowakowski jest klasykiem polskiego felietonu, ale jest to klasyk, który się nie zestarzał. Jak pisze w ciekawym wstępie prof. Henryk Markiewicz: „Jego polszczyzna jasna, dobitna, nieskazitelna (...) pokryła się zaledwie leciutką patyną, jego dowcip potrafi nadal rozśmiać, obserwacje zachowały satyryczną wymowność...”

To prawda — jest to klasyk żywy, choć go nie ma wśród żyjących. Wydawnictwo Literackie — jak zawsze dbało o zapis literackiej i artystycznej tradycji Krakowa — i tym razem przygotowało publikację imponującą.

Zygmunt Nowakowski „Lajkonik”, Wyd. Literackie, cena 130 zł

### 500 EXLIBRISÓW

Miłośnikom exlibrisów warto polecić piękną księgę wydaną przez moskiewską oficynę „Sowietskaja Roslja”. Ten rewelacyjny wprost album 500 współczesnych exlibrisów radzieckich jest do nabycia w księgarni zagranicznej „Domu Książki” i kosztuje około 70 zł.

A jest to publikacja — cacko. Poligraficznie wydana bezbłędnie, zawiera oprócz wspomnianego zbioru exlibrisów także ciekawy szkic na temat „małej grafiki” oraz noty o artystach, którzy w kraju Rad parają się exlibrisem. Polski czytelnik odnajdzie tu także „polonica” — znaki książkowe wykonane przez radzieckich artystów dla polskich bibliotek. Nie to jest wszakże najważniejsze. Ten piękny album to wspaniała i rozległa panorama radzieckiej grafiki. Można, oglądając zgromadzone tu exlibrisy, wędrować poprzecz latami, style, tendencje — odkrywać różnice, szukać analogii. Słowem, dzięki temu albumowi możemy mieć na własnej półce, pod ręką olbrzymią wystawę radzieckiej grafiki. Pięknej i zdumiewająco różnorodnej.

„500 exlibrisów”, Wyd. „Sowietskaja Roslja”, cena 88 zł

### WSZYSTKO JEST POEZJA

Edward Stachura, oprócz tomów poezji, ma już na swoim koncie dwie książki prozatorskie: „Siedemdziesiąt” i „Całą jaskrawość”. Pisze celowo „książki prozatorskie” a nie „powieści”, czy „opowiadania”. Proza Stachury bowiem przeżyła jest autobiografizmem, inna rzecz czy jest to autobiografizm prawdziwy czy fikcyjny, że jego książki sprawiają wrażenie wspomnień, albo dzienników.

Podobnie sprawa wygląda z tomem „Wszystko jest poezja”. Autor nazywa te książki opowieściami. Znajdujemy więc w tej opowieści i drobiazgowy zapiski z podróży (łącznie z rozkładem jazdy pociągów), znajdujemy refleksje na temat poezji i „sprawy codziennych” — są także wiersze zarówno samego Stachury jak i wiersze innych, bądź refleksje na ich temat.

Alie nie są to tylko prywatne zapiski, choć ta prywatność narzuca się nam na każdej stronie książki. Jest to wzruszająca refleksyjna proza, mówiąca o wiele więcej o współczesności niż można by z pozoru sądzić.

Edward Stachura jest poetą i jego proza jest bardzo poetycka. Myślę nawet, że to trzy książki prozą zawierają więcej poezji niż znalazłoby jej można w tomikach wierszy. Nawet w tomikach Edwarda Stachury.

Edward Stachura „Wszystko jest poezja”, PIW, cena 20 zł

### „SEN AZRILA”

Julian Strykowski ma za sobą bogatą biografię komunisty. Filolog ze stopniem doktora, członek KPZU, wiceminister, pisarz, nauczyciel gimnazjalny — przed wojną. Po wojnie — dziennikarz PAP, korespondent w Rzymie, laureat nagrody państwowej (za powieść „Bieg do Fragała”), a także tłumacz literatury faneuskiej i radzieckiej.

Najtrwale jednak wpisali się Strykowski do współczesnej literatury swoją trylogią powieściową, zaczęta „Głosami w ciemności” i „Austeria”. Wskazywaliśmy już na „Sen Azrila” — wydaną niedawno powieść o człowieku, który po latach nieobecności odwiedza rodzinne miasto we wschodniej Galicji. Odnajdując tu ślady swojej przeszłości Azril — tragiczna ofiara naruszenia własnych norm moralnych — dokonuje obrachunku z samym sobą. Pełna dramatycznego wyrazu przyczyna głównego bohatera stanowiąca dominujący akcent ten znakomitej prozy, w której odnajdujemy klimat malarstwa Marcza Chagalla.

Julian Strykowski „Sen Azrila”, Wyd. Czytelnik, cena 20 zł

### HEREZJE I PRAWDY

Ze Stanisławem Catem-Mackiewiczem można się nie zgadzać często zresztą zgadzać się z nim nie sposób. Ale takie nie sposób odłożyć jego książkę z uczuciem nudy. Poglądy Mackiewicza na historię współczesną i zamierzają, pełne są kontrowersji i też zaiste zdumiewających. Podane to jest wszakże z takim żarem, z taką pasją i publicystyczną maestrią, że obok tych książek nie można przejść obojętnie.

Tak było z głośną książką „Londyńskie”, tak było ze szczerymi historycznymi „Zielone oczy”, „Był bal”, „Europa in flagranti”... Podobnie jest z tomem „Herezje i prawdy”, wydanym w 1962 roku, a obecnie wznowionym przez oficynę PAX.

Sam Mackiewicz tak pisze o swoich rozważaniach: „Molch szkiełko historycznego nie należy uważać za pracę historyczną, lecz tylko publicystyczną. Pisałem więc za zadaniem zadawane poglądy i wezwać do kontroli pewnych pojęć, które takiej rewizji jak najbardziej wymagają (...) W średniowieczu wiele było rzeczy złych, chociaż to, co było najgorsze, owo zakończenie dyskusji intelektualnych przez stos ognia, nie jest specjalnością średniowiecza. Tyrani w stosunku do ludzkiej myśli w historii późniejszej będzie jeszcze bardziej intensywna, mordercza, zbrodnicza...” No właśnie! Choćabyśmy faszyzm różnych masz.

Tak więc szkice Mackiewicza o średniowieczu mówią nie tylko o samym średniowieczu, mówią o dziejach ludzkiej myśli, dziejach polityki i losach ludzkiej wpiątyn w koło Historii.

Stanisław Cat-Mackiewicz „Herezje i prawdy”, Wyd. PAX, cena 40 zł

### WARTO PRZECZYTAĆ

Eucja Danielewicz „Antyfony barowe”, Wyd. Poznańskie, cena 12 zł

Bogumiła Dziekan „Zostawę ci piękny most”, Wyd. Czytelnik, cena 16 zł

Zbigniew Kosiński „Wzroki”, Wyd. Łódzkie, cena 18 zł

Jerzy Wittlin „Jest taki dowcip”, Wyd. „Iskry”, cena 35 zł

Anna Zelenska „Wiersze zebrane”, Wyd. Ossolineum, cena 20 zł

Krzysztof Piardzka „Związki Długosza z Krakowem”, Wyd. Literackie, cena 25 zł

„Chopin i jego ziemia”, Wyd. Interpress, cena 195 zł

Jan Alfred Szczepański „Troja dla dorosłych”, Wyd. Literackie, cena 35 zł

